



JAN STYKA

SZKICE
Z ZIEMI ŚWIĘTEJ



LWÓW

NAKŁADEM I DRUKIEM

W. A. SZYJKOWSKIEGO, UL. KOPERNIKA 5

1896.



201881

KOCHANY MISTRZU!

Czy pamiętasz ów wieczór u Dr. O., tuż po powrocie Twoim z Ziemi świętej, kiedy owiany jeszcze bronzem jej promieni, woniami jej łąk wiosennych, oparami jezior jej błękitnych, kurzem jej pustyń, opowiadałeś, coś tam widział i słyszał, coś zebrał materyalnego i duchowego dla Swojej panoramy Golgoty. Zebranie było to samo prawie, nawskróś wylane dla twórcy „Polonii“, to, któremu dwa lata przedtem opowiadałeś o Swojej wycieczce do jaskini lwa po dokumenta do panoramy Raclawic, ale przedmiot inny, i może wiara nieco inna.

Umilkły pogadanki towarzyskie i rozprawy polityczne, kiedy zaczęłaś opowieść Swoją o podróży po Palestynie. Zapalały się Twoje oczy, a energiczna swada Twoja, im dłużej naprzód pomykałeś, coraz więcej zabarwiała się prostotą, tą cechą prawdy, siły przeświadczenia i wielkości przedmiotu. I kiedy o późnej

porze przerwałeś, nie było już pomiędzy nami niedowiarków. A przysłuchiwał się w tem zgromadzeniu jeden, który nietylko dlatego, że wierzy w przyszłość Ojczyzny, wierzy w Objawienie, a który pochłonął był znaczną część biblioteki dzieł o Ziemi, na której Ciałem się stało Objawienie i Odkupienie, spisanych przez książąt poezyi i książąt dynastycznych, świątobliwych biskupów i masonów, uczonych i prostaczków, swoich i obcych, i któremu się zdawało, że mógłby mieszkańców tej Ziemi egzaminować, jak ona wygląda. I ten właśnie z uwagą słuchał najświętszą, ciszą prześcignął wszystkich, którzy intenti ora tenebant. Bo usłyszał z ust Twoich, jak się wydają te miejsca święte artyście malarzowi, który umie żywcem pochwycić właściwą charakterystykę okolicy, jak się wydają one Polakowi, którego oku i duszy Bóg odsłania rzeczy, będące tajemnicą dla reszty ludzi, jak też dopiero naturę pustyni, mórz południowych i Afryki odsłonił Sienkiewiczowi. Usłyszał owoż ten słuchacz, jak się Ziemia Święta sama przedstawia, a nie jak ją przedstawiają.

I słuchacz ten w końcu przystąpił do Ciebie, Mistrzu, i prosił: „Spisz to, ale tak, jakieś tu opowiadał“. Znał on jeszcze Wojskich, którzy pamiętali „dawne czasy“ i opowiadać umieli, że w kącie Chodźko, Pol i Suffczyński, — ale też wiedział z praktyki literackiej, że co innego słowem opowiadać a spisać inkaustem; że gawędziarz, który dnie i noce słowem

przykuć umie swoich słuchaczy, zwykle piórem tak się sprawi górnolotnie, że nikt przez kwadrans za nim po papierze wlec się nie zechce. W Ciebie wierzyłem.

Czy pamiętasz, Mistrzu, jak usłuchałeś mojej prośby? Czy pamiętasz, jak to nie raz, i nie sto razy dziękowano Ci za gawędy Twoje z podróży po Ziemi świętej, w „Gazecie Narodowej“ umieszczane? I ty jeszcze pytasz, czy zebrać te gawędy w książkę — te opisy tak świeże i szczere, że dodawać do nich ilustracye byłoby niedorzecznością; tak prawdziwe a wymowne, że tylko syn narodu bolesnego a wiernego ułożyć je i nawskróś zrozumieć zdoła?...

Czy pamiętasz, Mistrzu, dodałem wówczas: „Ziomkowie będą Ci wdzięczni, a Pan pobłogosławi!“ Puść między duchy jasne i tę książkę w imię Boże!

PLATON KOSTECKI.

I.

[Wstęp. — Wiosna palestyńska. — Aleksandrya. — Kairo. — Wylądowanie w Jaffie. — Jerozolima i austr. hospicyum.]

Biorąc do ręki pióro, staje się jedynie posłusznym wezwaniu tych życzliwych mi osób, które pragną, bym się osobistemi wrażeniami szczerze i otwarcie z nimi podzielił. Powiedział ktoś, mówiąc o podróżach: „nie chodzi mi o to, co widziałeś — ale jak widziałeś“. Zebrane w wędrówce po Ziemi świętej typy, sanktuarya, ruiny i krajobrazy wydane będą jeszcze w tym roku, tu wtajemniczę obecnie czytelników w sposób mej podróży i w te wrażenia psychiczne, które znów łatwiej słowem wyrazić się dają aniżeli pędzlem.

Całego uroku piękna palestyńskiej wiosny nie może żaden opis odtworzyć, bo mu brak tych uroczych promieni wschodzącego słońca, które listki srebrzy, bo mu brak szczebiotu ptasząt

i woni porannej tych wzgórz i pól, bo mu brak tego głębokiego spojrzenia Beduina, który czy to na koniu czy wielbłądzie, zawsze dumny i tajemniczy. Opis takiej podróży to jakby szkielec człowieka, którego się znało żywym.

Wymienię nazwy rozmaitych miejscowości, gór i dolin, ale gdzież te drożyny pnące się stromo po górach, lub zbiegające ku żyznym i kwiecistym dolinom, gdzież te skowronki i jaskółki wylatujące jakby z pod kopyt końskich, gdzież te mgły poranne ścielące się po dolinach i te obłoki zwisające na szczytach gór, gdzież te wszystkie odcienia barw i półtonów, które przez oko wlewały się do duszy jakby jakieś urocze harmonie? One zostaną jedynie wspomnieniem, marzeniem, nie dajacem się ująć w żadną formę.

Dnia piątego marca wyjechałem ze Lwowa przygotowany do tej dalekiej podróży, rozmarzony opisami Ziemi św., z gorączkowym przygotowaniem poczynienia studyów do obrazu Golgoty, który od długiego czasu zaprzętał moją wyobraźnię, z pragnieniem widzenia tych wszystkich krajobrazów, które są tłem dla postaci proroków i Ewangelii, a zarazem z tęsknotą do tych miejsc świętych, które do końca świata nie przestaną dla duszy chrześcianina być źródłem łask i wzruszeń uszlachetniających.

Wschód do dziś dnia przedstawia najrozmaitsze trudności i niebezpieczeństwa, dla tego dobrą jest rzeczą zaopatrzyć się w różne listy i dokumenty. Dzięki staraniom ministerstwa oświaty we Wiedniu otrzymałem listy do konsulów, a z Rzymu dzięki łaskawości kardynała Ledóchowskiego otrzymałem od generała zakonu Franciszkanów, O. Luigi de Parma, list do wszystkich kapłanów w Ziemi św., którzy w każdym zakątku tego kraju wielką mi byli pomocą.

Mimo influenzy wyjechałem z Wiednia do Tryestu. Piękna pogoda na morzu odniosła zwycięstwo nad tą trapiącą chorobą i w pięć dni wylądowałem w Aleksandryi. Tutaj uderza natychmiast podróżnika pełne życie Wschodu, krzyk i gwar tych ludzi, którzy żywo gestykulując, chwytają pakunki i kuferki, by je odstawić na urząd cłowy. Tu zarazem poznajamia się podróżny w całej pełni z działalnością „organizacyi Cooka“ którego służba w czerwonych bluzach odznacza się rzutnością i szybkością w spełnianiu wszelkich poleceń podróżnika.

Zwiedzanie rozmaitych osobliwości tego portowego miasta zajęło mi dzień jeden, a już dnia następnego wieczorem przybyłem do Kairo i stanąłem w zuanym powszechnie ze swego komfortu hotelu Shepeartha, który na każdego gościa

wkłada ten nie zawsze może miły obowiązek zasiadania do obiadu we fraku.

Anglicy panują tu wszechwładnie i nadają ton całemu towarzystwu. Pomijam tutaj opis Kairu, który całym przepychem Wschodu oczarować musi każdego przybysza, który grą barw, różnaitością strojów i typów zupełnie wyobraźnię malarza pochłania, pomijam ową czarującą aleję Gize, prowadzącą do jednego z najwspanialszych muzeów na świecie, pomijam te karawany wielbłądów z kołyszącymi się na nich Beduinami i owe śliczne wybrzeża Nilu ustrojone palmami i ów wspaniały pałac w Gezireh wystawiony przez Ismailię, pomijam te wszystkie malownicze zaułki bazarów i marmury moszei arabskich, pomijam piramidy i Sakkarę — by jak najszybciej stanąć na wybrzeżu Ziemi św.

Po zwiedzeniu Ismailii, kanału Suezkiego i Port Said, gdzie na zakończenie wielkiego postu Ramadan najrozmaitsze zabawy ludowe Arabów oglądałem, stanął statek „Iris“ w odległości kilku kilometrów od wybrzeża Jaffy i tu miało nastąpić wylądowanie. Morze było tak niespokojne, że początkowo wątpiono w możliwość wylądowania, ale wkrótce przybiły do statku łodzie napełnione wiosłarzami Cooka i na nie poczęto wyrzucać pakunki podróźnych, a w końcu przyszła

kolej na ludzi. Przerazenie podróżnych było niezwykle. Łódź podrzucana bałwanami rozhu-
kanymi groziła co chwila zatonięciem. Pomostu
nie można było ze statku spuścić, bo łódź tań-
czyła, poczęto więc ludzi zrzucać: silni wiośla-
rze chwyтали podróżnych i rzucali ich w ramiona
wioślarzy stojących na łodzi. Wrzask i krzyk
porozumiewających się wioślarzy był tak prze-
rażającym, że najodważniejsi truchleli. Pierwsza
łódź została napełniona ludźmi, z których każdy
niemal miał słowa modlitwy na ustach i zdawała
się łupiną orzecha rzuconą na fale grożące za-
topieniem.

Przed dwoma laty zatoneła taka łódź z trzy-
dziestu sześciu podróżnymi i czternastu wiośla-
rzami. Brat Jan z Nazaretu, który przepłynął
był szczęśliwie pierwszą łodzią, stał na brzegu
i widząc tę drugą tonącą, drzał na całym ciele,
tak strasznym był widok tej sceny. Pięć osób
jedynie ocalało. Jedno dziecko, które na jakimś
koszu przyplęnęło, utraciło rodziców; jeden Ame-
rykanin ocalał, ale stracił żonę i dwóch doro-
słych synów; ocalał także kucharz Karmelitów,
którego później w Kaifie poznałem i rysowałem,
a któremu również wiele szczegółów tego wy-
padku zawdzięczam. Kucharz ten został w pół
godziny po zatonięciu łodzi z morza wydobytym,

i twierdzi, że go jedynie szkaplerz Matki Boskiej z Karmelu od śmierci wybawił.

W czasie niespokojnego morza żądają wioślarze wysokiej opłaty za przewożenie do lądu, i tak żądali wówczas po 60 fr. od osoby. Cook ma takse pięciu franków, oddałem więc moją osobę silnym ramionom wioślarzy. Zrzucano mnie ze statku do łodzi, gdzie mnie znów inni pochwycili i szczęśliwie usadowili na łodzi. Nie zapomnę jednak nigdy tych wrażeń, jakich doznałem. Obok mnie siedział jeden biskup z Ameryki i ksiądz również ze Stanów Zjednoczonych; byli oni jedynymi, którzy zachowali spokój i pogodę; reszta podróżnych oddała się przerażeniu i chorobie morskiej.

Im bliżej byliśmy lądu, tem większa radość malowała się na obliczach podróżnych, bo każdy czuł, że wyszedł z niebezpieczeństwa grożącego życiu.

Ten port w Jaffie, a raczej ten brak portu, ma swoją historję. Kiedy Franciszek Józef z Jeruzolimy jechał na otwarcie kanału Suezkiego, przybył do Jaffy i zastał morze niespokojne. Wszyscy go wstrzymywali. Cesarz jednak odpowiedział, że dał słowo cesarzowej Eugenii, że będzie na uroczystości otwarcia Suez i wsiadł do łodzi, na której jeden stary wioślarz rzekł:

„*niente paura*“ i szczęśliwie cesarza do statku dowiózł. Ministrowie jednak zostali na brzegu.

W tym roku arcyksiężna Stefania przybyła dopiero po świętach Wielkanocnych do Jerozolimy (17. kwietnia), bo czekała w Aleksandryi na uspokojenie morza, bojąc się wylądowania w Jaffie.

Pątnikom, którzy z prawdziwym pietyzmem do Ziemi św. pielgrzymują, winno to wylądowanie w Jaffie w czasie niespokojnego morza, być policzone jako expiacya za grzechy, bo wiara ich silniejszą być musi od trwogi śmierci.

Miałem zamiar z Jaffy konno odbyć podróż do Jerozolimy, zapewniano mnie jednak, że okolica ta zaniepokojoną jest chwilowo rozruchami Beduinów. Poszedłem więc za przykładem wszystkich innych i siadłem do pociągu jerozolimskiego, oglądając z okna wagonu uroczą florę wiosenną Jaffy, Ramle i Lyddy. W cztery godziny przybyliśmy już pod noc do Jerozolimy. Tu wynająłem karocę i kazałem się zawieść do *hospicium austriacum*.

Mimo spóźnionej pory zostałem serdecznie przyjęty przez rektora ks. Jocha i otrzymałem doskonały pokój na pierwszym piętrze.

Z prawdziwym rozrzewnieniem dziękowałem Bogu za szczęśliwe przybycie do upragnionego

celu mojej podróży, a cisza tych klasztornych prawie murów wydała mi się tak błogą po tym zgiełku wschodnich miast, że byłbym w stanie całować te ściany, w których miałem cały niemal miesiąc spędzić na pracy i rozmyślaniu.



II.

[Pierwsze wyjście na miasto. — Kościół Grobu Świętego. — Golgota. — Tradycją potwierdza nauka. — Święta Wielkonoce. — Ogień święty. — Mycie nóg u Greków.]

Nazajutrz z rana poszedłem najpierw do Grobu świętego.

Z hospicium austriackiego trzeba przejść drogą krzyżową (*Via dolorosa*) koło czwartej stacyi, gdzie Matka Boska spotkała Chrystusa, następnie koło piątej, gdzie Szymonowi z Cyreny krzyż włożono, dalej koło domu św. Weroniki, by potem od siódmej stacyi na lewo przejść ulicą, a później na prawo przez wąską bramę, która na dziedziniec kościoła Grobu Świętego wychodzi.

Pierwsze to wyjście na miasto sprawia dziwne wrażenie. Dusza drży w ciele, bo kamienie zdają się mówić. Oko patrzy chciwie na wszystko.

Łuki rozpięte nad wąziutkimi ulicami łączą dwie ściany domów przeciwległych, bruk pod

nogami nierówny i śliski wznosi się stopniami pod górę. Ściany domów brudne, zawierają w sobie partye starych kamieni; tu wystercza kawałek kolumny romańskiej, tam jakiś arabskim ornamentem zdobny wierzchołek drzwi, tu koza przywiązana do białego haka, tam dzieciaki przed domem raczkujące — wreszcie przesuwają się tą wąską uliczką obładowany wielbłąd, tak, że musisz się do ściany przytulić, by mu przejście umożliwić, to znów kilku pielgrzymów z Rosyi, a przed nimi pop grecki, tuż pod ścianą żebrak muzułmanin wyciąga chudą rękę po jałmużnę. I widziałem zaraz pierwszego dnia obraz czuły i rzewny: żebrakowi takiemu sypał na wyciągniętą dłoń siwobrody Franciszkanin tabakę; był to, jak się później dowiedziałem, ojciec Liévin de Hamme, autor najcenniejszego przewodnika po Ziemi św., którą od trzydziestu lat wzdłuż i wszerz schodził.

Stanąwszy na dziedzińcu przed Grobem Świętym, patrzyłem długo na pełną średniowiecznego uroku fasadę kościoła, na wyszczerbione ornamenta i kolumny i na ten gwarny tłum, który na tym dziedzińcu od rana do wieczora utrzymują przekupnie koronek, świeczek i obrazków.

U wejścia do kościoła siedzą po lewej stronie na dywanie stróże tego przybytku —

muzułmanie. W ich to ręku klucz świątyni, którą otwierają jedynie na żądanie przełożonego OO. Franciszkanów, „kustosza Sionu i miejsc świętych“, jakoteż na żądanie patriarchy greckiego i ormiańskiego.

Oto świątynia na miejscu góry Kalwaryi czyli Golgoty, oto przybytek, na który od dwu tysięcy lat skierowane oczy całego chrześcijańskiego świata — oto miejsce, do którego miliony pielgrzymów zdążało to z pieśnią pobożną na ustach, to z dobytym mieczem — oto miejsce, które dłoń nienawistna prześladowców chrześcian niszczyła wszelkimi możebnymi sposobami. A dziś, nie jest ono miejscem cichej uroczystej modlitwy. Dziś jest widownią walk różnych kościołów i wyznań chrześcijańskiego świata, które jedynie szeregi tureckiego wojska w pewnych karbach utrzymać mogą.

U wejścia leży kamień, na którym ciało Chrystusa Pana po śmierci do zabalsamowania położonem było. Tu się zginają kolana chrześcian wszystkich narodów — i widok ten uroczyste sprawia wrażenie. Obok jakiejś damy w czarnym hiszpańskim welonie, klęka czarny Abisyńczyk, obok niego kacap rosyjski. W tem przychodzi Beduin w jasnym płaszczu, a obok niego Serb lub Bułgar, za nimi cichy pielgrzym z Litwy

z nad Niemna i kładzie głowę na tym kamieniu, rosząc go łzami dawno tłumionej boleści. Przycho-
dzą i odchodzą a za nimi nowe tłumy spie-
szą, a ty patrzysz na to i czujesz, że wszystkie
narody świata chwalą Pana ukrzyżowanego.

Wśród tych przeróżnych ras przeciskasz się
i widzisz wszędzie gwar i tłum. Tam się usado-
wiły betlemitki w białych welonach, dziewczęta
i matki z dziećmi; tu przechodzi procesya Kop-
tów i Abisyńczyków ze śpiewem podobnym do
beczenia trzody owiec, tu dzwonią bezustannie
Grecy, przy innym ołtarzu wznosi się uroczysty
śpiew *vere dignum et justum est* — i tak przez
dzień cały, szczególnie w dni świąteczne roz-
brzmiewają te ściany przeróżnymi dźwięki, a cie-
bie pielgrzyma, pątnika gorszy ten hałas, to
życie bezustanne, gwarne, jarmarczne. Nie mo-
żesz się z tem oswoić, nie możesz skupić w mo-
dlitwie. Tego wrażenia doznałem również, ale
od chwili, kiedy sobie począłem powtarzać „*Mors
mea, vita vestra*“ zdawało mi się, że zrozumiał
Kościół Grobu Świętego. Ta dewiza byłaby
najodpowiedniejszym napisem na tej świątyni:
„Śmierć moja waszem życiem“.

Chodźmy więc na to najświętsze miejsce,
gdzie Chrystus krew swoją za nas przelał. Po
ośmnastu stopniach wychodzimy na górę Kalwaryi.

Kaplica ta zbudowana na skale, ma 15 metrów długości a 13 szerokości; pod ołtarzem jest miejsce, w którym krzyż Chrystusa Pana był ustawiony, otoczone srebrną płytą z otworem, w który rękę włożyć można. Obok po prawej stronie szczelina głęboka, która powstała przez pęknięcie w skale w czasie skonu Zbawiciela.

Kto tu z wiarą przychodzi, ten zrozumie tę mowę kamienia. Kto jej nie ma, temu one nic nie powiedzą. Może się rzucić jak Piotr Lotti na ziemię i wstanie niezmienny. Wątpił i wątpić będzie. Wszak żołnierze tureccy stoją często przy grobie Chrystusowym, a mimo to nie zostali chrześcianami, zaś w lichej wioszczyne mogą słowa skromnego kapłana albo życie jakiejś pobożnej duszy nauczyć poznania prawdziwej wiary. W odległej pustyni może dusza płonąć żywą ku Bogu miłością, na nędznym poddaszu mogą chóry aniołów pociechę wiary uciśnionym i cierpiącym przynosić, wśród walki życia, na gwarnej ulicy można się pomiędzy tłumem przeciskać czując Chrystusa Pana przy sobie, bo ten Ukrzyżowany jest wszędzie, jeśli jest w duszy naszej, a nie ma Go nawet w kościele Grobu świętego, kiedy Go nie ma u nas samych.

W 450 lat po Chrystusie biskup Theodoret powiedział: „Widzenie tych miejsc, które były

*

świadkami życia Chrystusa Pana, poi wzrok tem, czem dusza wierząca przejęta. Kto spoczywającego w Bogu człowieka z całego serca kochał, ten z radością ogląda jego dom, szaty i obuwie nawet“.

Radziłbym zatem każdemu, który do Ziemi Świętej podróżuje, obudzić w sobie w pierw szczerą miłość do Chrystusa Pana, rozmiłować się w każdym słowie Ewangelii, a wówczas będą dla niego wielki urok miały wszystkie sanktuaria ziemi świętej, wszystkie wzgórza i doliny, jeziora i rzeki — wówczas zrozumie ten kraj, z którego kilkunastu rybaków wyszło na cały świat, by go zupełnie przeistoczyć.

Uczeni naszego wieku starali się każdą całą ogół interesującą sprawę naukowo zbadać. Oczyszczając, że Golgota nie uszła ich analizie. Już Renan podniósł wątpliwość co do autentyczności miejsca Golgoty, twierdząc, że nie jest ona tam, gdzie od czasów Konstantyna wielkiego tradycja ją wskazuje. Ewangelie mówią, że Golgota była za murami miasta, miejsce grobu św. zdawało mu się więc nadto do środka miasta wysunięte. Dzięki jednak najnowszym poszukiwaniom stwierdzono autentyczność tradycji.

Rosyanie zakupili w pobliżu grobu całą grupę domów i kiedy je zburzyli i kopać poczęli,

doszli kilkanaście metrów pod gruzami do starych fundamentów i odkryli bramę tak zwaną Efraimską. Te odkrycia robione kosztem wielkiego księcia Sergiusza Aleksandrowicza dowiodły kierunku drugiego muru i dały niezłomny dowód położenia Golgoty.

To też Anglicy, którzy twierdzić poczęli, że tam, gdzie się dzisiaj grotą Jeremiasza znajduje, należy upatrywać prawdziwej Golgoty, musieli się przyznać do błędu mimo, że zakupili to miejsce i murem otoczyli. Że dawne miejsce Golgoty podobne być mogło do wzgórza Jeremiaszowego, to łatwo przyjąć można i dlatego malowałem ten widok z terasy obok położonego klasztoru Dominikanów, stojącego na miejscu dawnego kościoła św. Szczepana.

Prawdziwie pocieszającą rzeczą jest dla każdego chrześcianina, że badania naukowe w Ziemi św. potwierdzają w końcu zawsze tradycję, z czego wypływa, że takim pisarzom jak święty Hieronim zawsze wierzyć należy. I nic w tem dziwnego, gdyż oni z całą miłością, troskliwością i skrzętnością szukali tych miejsc świętych, a byli jeszcze w możności zasiągnięcia żywej tradycyi, która wśród pierwszych chrześcian nie zaginęła, ale od pokolenia do pokolenia przekazywaną była.

Cały Wielki Tydzień spędziłem w kościele Grobu Świętego, i wskutek tego widziałem obrzędy najróżnorodniejsze, bo u wszystkich wyznań święta Wielkanocne w tym roku się zbiegły.

Niedzielę Palmową obchodzili łacinnicy pontyfikalnem nabożeństwem przed Grobem Świętym na ustawionym srebrnym ołtarzu, pochodzącym z daru cesarza Franciszka Józefa. Bardzo piękny widok przedstawiało rozdawnictwo palm, które biskup Appodia własnoręcznie każdemu uczestnikowi nabożeństwa rozdawał. Palmy te, jak się dowiedziałem, sprowadzone zostały w wielkiej ilości z Aleksandryi, gdyż Palestyna obecnie ubogą jest bardzo w drzewa palmowe.

Grób Chrystusa mieści się dzisiaj w pomniku marmurowym, ponad którym rozpina się wspaniała rotunda z kopułą mającą około 20 metrów średnicy, trzymana przez 18 pilastrów.

Wnętrze Grobu składa się z dwóch części: z kaplicy Anioła, mającej w środku czworograniasty kamień, który zapewne służył do przytrzymywania kamienia, zamykającego wejście do Grobu, a na którym anioł zwiastował niewiastom świętym zmartwychwstanie Chrystusa i z kaplicy samego Grobu, pokrytej białym marmurem, która ma zaledwie dwa metry długości i metr szerokości. Cztery osoby na kolanach mają się w niej

pomieścić. Ściana północna jest ołtarzem, nad którym widnieją trzy pola przedstawiające Zmartwychwstanie Chrystusa Pana, a każde z tych pól do innego wyznania należy. Lewa strona, należąca do katolików pochodzi z daru kardynała Antonellego i jest srebrna, bogatymi kamieniami wysadzana.

Ile tu poruszeń duszy, ile łez w tym ciasnym kąciku się wylało, jakie tłumy przez ten mały otwór się przecisnęły, który zaledwie cztery stopy wysoki a dwie szeroki — tego żadne pióro nie określi.

Przed tym Grobem w Wielki Czwartek przystępowaliśmy wszyscy do Komunii św.

We wszystkich nabożeństwach bierze zawsze udział jako protektor Grobu Św. konsul francuski w pełnej gali, ustrojony kilkunastu orderami, wstęgami i gwiazdami. Podczas nabożeństwa klęczy na przeznaczonym dla siebie klęczniku i trzeba przyznać panu Ledoulx, że z wielką gorliwością wypełniał wszystkie ceremonie, które czasami już od piątej godziny z rana się rozpoczynały.

W Wielki Piątek wieczorem w różnych miejscach kościoła Grobu Świętego podczas procesyi do poszczególnych sanktuaryów, mają ojcowie Ziemi św. siedm kazań w różnych językach.

W tym roku były kazania włoskie, greckie, hiszpańskie, francuskie, niemieckie, arabskie i tureckie. Polskiego nie było, bo jedyny Franciszkanin, Polak, leżał chory. W czasie kazania tureckiego zauważyłem, jak kilku żołnierzy tureckich, trzymających szpaler w czasie procesyi, z wielkim skupieniem przysłuchiwało się słowom zakonnika i swojemu wewnętrznemu wzruszeniu dawali wyraz poruszeniem głowy — widziałem Słowo Boże, padające nie na opokę i myślałem, że nie jeden Longinus w czasach naszych powstaje.

W czasie Soboty Wielkanocnej jest kościół Grobu św. areną ze wszech miar ciekawego widowiska. Ogień święty Greków gromadzi tłumy ludzi, którzy wrzaskiem kilkugodzinnym profanują te miejsca święte. Dzień ten grozą przejmują wszystkich. Patrzyłem na ten dziki szal, który ogarniał tłumy oczekujące ukazania się tak zwanego „świętego ognia“. Patryarcha grecki wchodzi do Grobu św. i podaje przez otwór ogień, rzekomo z nieba pochodzący. Co chwila wyskakuje jakiś krzykacz po nad głowy tłumy i wrzeszczy na całe gardło: „oto dzień radości...“, a tłum wtoruje mu rytmicznie. Patryarcha grecki w pontyfikalnym stroju obchodzi w procesyi kaplicę Grobu i... tym razem Ormianie

szymatycy wywołali awanturę taką, że dopiero skoncentrowane wojsko tureckie potrafiło ładu przywrócić. Sygnały trąbek wojskowych rozległy się po kościele, krzyk i wrzask nie do opisanania, wreszcie przywrócono pewien ładu i znów rozstawiono szpalery wojska, ale jak mówiono, patriarsze greckiemu strącono mitrę z głowy.

Stałem naprzeciw tego otworu, którym miał się wydobyć ten ogień i w istocie ogień się ukazał. Ten jednak, który go pierwszy zapalił, został przez sześciu ludzi porwanym na ręce i przeleciał pomiędzy szpalerem wojska z szaloną szybkością. Następnie inni poczęli chwycić pękami stoczków woskowych ogień i w dziesięć minut cały kościół był pełen zapalonych pochodni. Ogniem tym poczęli sobie ludzie opalać twarze i piersi, kobiety rozpinały się i dotykały ogniem ciała, zdawało się, że zgoreje kościół, zdawało się, że Kacapi z długimi brodami i włosami popalą się. Tymczasem ogień ten wkrótce poczęto gasić i żadnego nieszczęścia nie było.

Ten kult ognia musi mieć bardzo dawne pochodzenie i kto wie, czy go do czasów Prometeusza odnieść nie wypadnie. Szymatycy przyznają mu własność oczyszczania i tak, jak

kąpiel w Jordanie, woda, grzechy zmywa, podobnie tym ogniem oczyszczenie następuje.

Grecy urządzą tę uroczystość na pamiątkę tego ognia, który po skończeniu świątyni Salomonowej z nieba na ołtarz ofiarny zstąpił i był niejako symbolem tego światła, które zajaśniało w Grobie Chrystusowym w chwili zmartwychwstania. Niktby więc nie czynił zarzutu Grekom, gdyby z godnością wzbudzać i ożywiać chcieli te religijne wspomnienia, ale sposób, w jaki to czynią, jest tak kuglarski i barbarzyński, że sprowadza zdziczenie tych mas, któremi cały kościół Grobu św. wypełniony, i wzbudza niewiarę, bo trudno, by dzisiaj jeszcze wierzono, że Anioł z nieba złata w Sobotę Wielkanocną i ogień ów tajemniczy przynosi patryarsze albo jakiemu innemu popowi.

Tyle narzekań ze wszech stron wywołuje ta ceremonia, jednakże zapal, dzikość i werwa, z jaką się wykonuje, roznamiętnia tak bardzo wielkie masy, że nie myślę, by rychło do zniesienia tego zwyczaju przyjsć miało.

Dla malarza były to sceny nieporównanej niczem oryginalności. Te tysiące pochodni, oświetlające cały przybytek, te zfanatyzowane oblicza ludzi, którzy jakby w zachwycie palili sobie twarze, piersi i ręce ogniem, te sylwetki

głów, wychodzące na jasnym tle światła, to wszystko było obrazem, jakiego się nigdy więcej nie obaczy — obrazem, pełnych najfantastyczniejszych widziadeł. A chociaż patrzałem chciwie, stojąc bezpiecznie na ołtarzu, to wszystko mi się snem być wydało; i to morze płomieni, które się zapaliły i nie spaliły kościoła, i te fauaty-zmem ożywione wyrazy twarzy.

Wszystkie ceremonie Greków odznaczają się zresztą pompą, wobec której nasze obrzędy są czemś tak idealnie skromnem, że przekonujesz się tutaj dopiero, jak głęboko odczuta i szlachetnie uzmysłowiona jest wszelka forma kościoła łacińskiego, jak piękną i wzniosłą jest ta równowaga formy i treści.

Mycie nóg u Greków odbywa się na placu przed kościołem Grobu. Na wysokim podyum siedzi w pontyfikalnym stroju patriarcha i kilkunastu popów w bogatych kapach, tłumy napętniają dziedziniec, wojsko utrzymuje czworobok, na drabinach i gzymsach stoją ciekawi widowiska, słońce oświetla jasne nakrycia kobiet i czerwone fezy żołnierzy, migocą światła na broni, migocą światła na złotych ornamentach kap. Gwarno, barwno i wesoło na tym placu zamkniętym ze wszech stron budynkami o najróżnorodniejszych sylwetach.

Uprzejmości austryackiego konsula Ippena
zawdzięczam każdym razem dogodność miejsca.
Wspólnie ze swoim kawasem, w bogato hafto-
wanym stroju, torował mi wszędzie miejsce, tak,
że mogłem rysować i notować wszystko z naj-
odpowiedniejszego dla malarza stanowiska.



III.

[Trzy światy. — Uroczystość Nebi Musa - El - Sakrah - El-Aksa. — Dziedziniec Meczetu Omara o zachodzie słońca.]

Jerozolimie powiedziano: „Wszystkie granice ziemskie będą się Tobie kłaniać — Narodowie z daleka przyjdą do Ciebie i dary przynosząc, będą się w Tobie kłaniać Panu, a ziemię Twoją za poświęconą mieć będą“. (Tob. 13). Uczci tych słów proroczą siłę, ktokolwiek przyjrzy się kultom tych wszystkich monoteistycznych wyznań, które w Jerozolimie się koncentrują.

Ile różnorodnych wrażeń dostarczył mi upiasty kwietnia! Po godzinie jedynastej poszedłem oglądać wielką pielgrzymkę muzułmanów do grobu Mojżesza, o trzeciej przebyłem drogę krzyżową z pielgrzymami naszymi, a o piątej widziałem żydów płaczących pod murami świątyni Salomona! Trzy różne światy, trzy różne epoki.

Całe miasto wyszło niemal z murów, by oglądać uroczystości Nebi Musa. Za murami porozbijano namioty już od bramy świętego Szczepana począwszy, na dwu wzgórzach obok drogi. Tłumy różnobarwne zaległy jedną i drugą stronę Cedronu.

Okolo południa przybył do bogato wzorzystego namiotu gubernator Jerozolimy, a z nim basza wojskowy i sędzia najwyższy, staruszek ośmdziesięcioletni i wielu innych dygnitarzy. Zająłem z konzulem austriackim miejsce w tym namiocie baszy i mogłem jak najdokładniej przyjrzeć się całej uroczystości. Szkiecowałem więc, co tylko widziałem, a w tej pracy przeszkadzała mi bardzo gościnność wschodnia, bo ciągle mi podawano to papierosy, to lemoniadę, to czarną kawę.

Pochód wyszedł z bramy św. Szczepana przy wystrzałach działowych i począł się spuszczać ku dolinie wśród okrzyków tłumu, przy dźwiękach muzyki wojskowej, migocąc w słońcu żywymi barwami Wschodu. Setki chorągwi powiewały szeleszcząc w powietrzu. Za wielką zieloną chorągwią proroka jechał Mufti na białym koniu. Cały ten pochód stanął przed namiotem baszy i tu wystąpił mówca, który błogosławił idącym do grobu Mojżesza. Wśród proroków wymieniał często imię Chrystusa „Issa“.



Mówiono mi, że w dawnych latach dzikość takiego pochodu była do nieopisania, tym razem prócz kilku tańczących i skaczących berberynów lub derwiszów, których płęć ciemna błyszczała oblana potem, nie widziałem żadnych gwałtownych wybuchów namiętności ludzkich. Toż ogień Greków, chociaż się odbywa wewnątrz kościoła — nie jak ten pochód pod gołym niebem — bez porównania większej dzikości był obrazem.

Trzy różne świąty na jednym miejscu, oto dzieje świątyni Salomona, dzisiejszej moszei tureckiej, *haram esch-Scherif* czyli *El-Sakrah*, nazwanej od skały, ponad którą ją zbudowano.

Przed wojną krymską pod karą śmierci był chrześcianom wstęp wzbroniony, dzisiaj można za pośrednictwem konsulatów i odpowiednią opłatą uzyskać pozwolenie zwiedzenia meczetu Omara.

Byłem w tem miłym położeniu, że równocześnie z arcyksiężną Stefanią zwiedzałem El-Sakrah. Od wejścia przez jedną z siedmiu bram, które z miasta na plac świątyni prowadzą, towarzyszył nam jakiś dygnitarz turecki. Nie pamiętam, bym coś bardziej malowniczego widział, chyba może *piazetta* w Wenecyi — jak ten plac zdobny wspaniałą budową meczetu, jakoteż

innemi kopułami, studniami, arkadami, filarami i schodami marmurowemi, wśród których sylwetują się przepysznie ciemne cyprysy i platany.

Co chwila z ust się nam wyrывały zachwyty nad pięknem linii sylwet, a arcyksiężna zrobiła kilka zdjęć fotograficznych, chcąc należycie wyzyskać swoje odwiedziny w tem zaczarowanym miejscu, które robiło wrażenie jakichś bajecznych opowiadań z tysiąca i jednej nocy.

Zanim przestąpiliśmy próg samej świątyni, włożono nam na nogi pantofle pod kopułą łańcuchową Mehkemet Daūd.

Zaraz przy wejściu pewna tajemniczość ogarnia widza, bo wszedłszy z jasnego słońcem oświetlonego placu, zdaje ci się ciemnym ten przybytek, a mimo to grają już barwy kolorowych szyb i złocenia mozaikowe. Im dłużej oko patrzy na ściany tego ośmioboku, wykładane fajansami i marmurami, wśród których niebieski i biały kolor przeważa, tem więcej wynajduje oryginalnych szczegółów. Na ośmiu łukach i szesnastu marmurowych kolumnach spoczywa sklepienie średnicy pięćdziesiąt trzy metrów mające. Kolumny są różnobarwnymi monolitami, niejednostajnej wysokości i grubości, prawdopodobnie pochodzące z dawniejszych budowli, a może nawet ze świątyni Hadriana.

Przeczytał Jan Jaszkota
Shan

W samym środku tego przybytku jest skała, mająca przeszło dwieście metrów kwadratowych rozmiaru, otoczona drewnianą ornamentowaną balustradą. Po nad tym kamieniem rozpina się kopuła wspaniała, na której złożonem tle grona i kłosa rysują się w fantastycznych liniach.

Wobec przepychu otaczającego tę nagą skałę nabiera ona wielkiego znaczenia i robi uroczyste wrażenie. Na tym kamieniu ofiarował Abraham Izaaka, na nim Dawid wzniósł ołtarz, na nim ustanowił Salomon arkę przymierza, ona jest jedyną pozostałością tego *sanctissimum* starego zakonu.

Żal ci, kiedy patrzysz na tę surową przestrzeń kamienia, że Golgota nie pozostała w takim stanie. Co za urok wywierałyby te miejsca święte, gdyby były mogły pozostać w stanie naturalnym! Niestety, musiano je zabudować, już choćby dla tego, by je przed znieważeniem chronić.

Mahometanie przywiązują do tego kamienia przeróżne opowieści. I tak opowiadają, że kiedy prorok dosiadł niebieskiego konia „Burâk“ i na nim do nieba uleciał, podniosła się z nim ta skała. Wówczas zesłał Bóg archanioła Gabryela, który potężną dłonią ją powstrzymał i do dzisiaj pokazuje odcisk ręki Gabryela, a nawet

twierdzą, że skała ta wisi w powietrzu. Pod nią w krypcie pokazują miejsca modlitwy Dawida, Salomona, Abrahama i Eliasza. Machomed kiedy tu się rozmodlił, to w ekstazie uniósł się do góry. Wówczas się skała poddała i pokazują odcisk jego turbanu.

Różne inne osobliwości pokazują jeszcze muzułmanie w tym przybytku: włosy z brody Mahomeda, odciski stóp w marmurowej płycie i chorągiew proroka. Ale wszystkie te szczegóły przeskoczyłyby rozmiary naszych szkiców.

Zwrócimy się zatem jeszcze tylko do meczetu „El Aksa“, który na tym samym dziedzińcu świątyni się znajduje i był bazyliką przez Justyniana I. ku czci Panny Najświętszej postawioną a przez Omara służbie Allaha przeznaczoną. Bazylika ta ma siedm naw i kopułę trzymaną przez cztery pilastry, przypominającą to kopułę św. Marka, to meczet Zofii w Konstantynopolu. Co mnie zadziwiało, to drewniane ankry, które pomiędzy kolumnami się znajdowały i łuki z sobą łączyły.

Na pięknie rzeźbionej ambonie pokazują muzułmanie znak stopy Chrystusa.

Opodal znów stoją dwie kolumny blisko siebie, tak zwane słupy próby, pomiędzy którymi muzułmanom przeciskać się trzeba, by dojść do

nieba. Już w meczecie Omara, w starym Kairo, widziałem taką parę kolumn. Usilne starania wielu doprowadziły już do tego, że kilka centymetrów starto z tych słupów i tem samem ułatwiono przecież wejście do nieba. Obecnie zakratowano to przejście, z czego wnosić można, że Muzułmanie zdecydowali się na inną drogę, prowadzącą do nieba.

Kiedy obok widzisz kolosalną salę z ostrołukowemi sklepieniami i słyszysz, że to była zbrojownia Templaryuszów, którym na wyłączne posiadanie oddaną została, a dalej dowiadujesz się, że ten biały meczet dla kobiet obecnie przeznaczony, to znowu czujesz zbieg różnych światów i różnych epok na tym miejscu, chaotycznie z sobą powiązanych.

Zamyślony wracasz na wielki dziedziniec świątyni, oko twoje nęca czarujące sylwety budynków i cyprysów, a oto obecnie żar zachodzącego słońca poczyna malować i tak już barwne ściany, rzucać błyski złote na fajansy i szyby okien, czerwienić kopuły i lekkie arkady. I otacza cię urokiem barw natura i widzisz jak ona wiecznie niezmienna, te same żary, te same światła, jak za czasów Salomona na świątynię zlewała i zdaje ci się, że ta niezmienna natura niweczy oddalenia czasów, spokojna w swoim

*

majestacie, przechodzi po nad tem, co ludzkie
i zmienne i widzisz naprzeciw złoconą słońcem
Górę Oliwną, a na niej migocący blaskiem krzyż
klasztoru Karmelitanek „Ojcze nasz“ i zdaje ci
się, jakby na tem miejscu to Ojcze nasz wczoraj
dopiero wymówionem zostało!

Benedyktina

IV.

[Wieża Dawidowa. — Coenaculum. — Nekropola pamiątek za murami miasta. — Grota Jeremiasza. — Groby królów. — Dolina Jozafata. — Kościół Wniebowzięcia Matki Boskiej. — Grota trwogi. — Ogród Gethsemani. — Cerkiew na Górze Oliwnej. — Ślad stopy Chrystusowej. — Widok z Góry Oliwnej. — Ojciec nasz. — Grobowce Absalona, Jakóba i Zacharjasza. — Wieś Siloah. — Trędowaci. — Szczęście i nieszczęście ludzkie. — Góra zlej Rady i góra Złości. — Mury Jerozolimy i historia kamieni.]

Naprzeciw bramy Jaffy wznoszą się kolosalne wieżyce, dzisiejszą cytadelę stanowiące, a które wzniesione jeszcze przez Jebuzytów, były niezdobytą twierdzą starożytniej Jerozolimy. Jedna wieża zowie się Dawidowa i często w piśmie świętem jest wymieniana, inne wzniesione przez Heroda Wielkiego dla wzmocnienia tego strategicznie ważnego miejsca nazwane: Hippikus, Phasaël i Mariame zachowały się do naszych czasów, albowiem Tytus przy zdobyciu

Jerozolimy zakazał je burzyć, by dać przyszłym pokoleniom świadectwo waleczności Rzymian, którzy tak silnie obwarowane miasto zdobyć potrafili. Wieże te otoczone głębokim rowem, podmurowane szeroką warstwą pod czterdziestym piątym kątem, zasiewają olbrzymie kamienie od jednego do czterech metrów długości.

Górna część wieży Dawidowej jest już z późniejszej epoki i ma na północnej stronie okno zwane oratorium Dawida, z którego ten król patrzył na piękną Bethsabę, a później pokutując za swoje grzeszne czyny, tutaj psalmy swoje śpiewał. Widok z tej wieży obejmuje całe miasto. Opodal widzi się sadzawkę obudowaną domami, które się w niej odzwierciadlają i kopułę kościoła Grobu świętego, na wschód Górę Oliwną, a na południe piękne ogrody ormiańskiego klasztoru. Tu był dom Anasza, do którego najpierw prowadzono Chrystusa Pana po pojmaniu w Gethsemani.

Opuściwszy cytadelę, poszedłem na górę Syonu, ażeby zwiedzić *Coenaculum*, miejsce Wieczerzy Pańskiej. U wejścia zastaliśmy straszłą awanturę, którą stróże tego przybytku wyprawili, ujadając się między sobą o podział bakszyszów, które tam zawsze każdy wchodzący płacić jest obowiązany. Dziwnym zbiegiem

okoliczności, nas od opłaty owej uwolniono, bo żołnierz turecki oświadczył nam, że nie zapłacimy w skutek tej kłótni, jaka powstała i tak może od dawien dawna byliśmy pierwsi, którzy bez opłaty do *Coenaculum* weszli.

Bolesnem być musi dla każdego chrześciana, że tu, gdzie niejako pierwsza Msza św. odprawioną została, gdzie się największe tajemnice wiary spełniły i Sakrament Ołtarza ustanowionym został, kiedy Zbawiciel pod postaciami chleba i wina Ciało i Krew swoją Apostołom podał, że tu, gdzie po Zmartwychwstaniu Chrystusa Duch święty na Apostołów zstąpił i Piotr swoją wielką misję nawracania narodów rozpoczął — że tu niema ołtarza, niema kościoła, a nawet do sali, w której Chrystus w Wielki Czwartek uczniom mył nogi, chrześciani nie ma przystępu.

A przecież miejsca te należały do chrześcian i już w czwartym wieku mówiono „o kościele na Syonie“, a w wieku św. Heleny stał „kościół Apostołów“ na miejscu zstąpienia Ducha świętego. W XIV. wieku osiedli Franciszkanie na Syonie i dzisiejsza budowa od nich pochodzi. Superior Franciszkanów do dziś dnia ma tytuł „Gwardyana Syonu“.

Grób Dawida jest bardzo wątpliwy i prawdopodobnie powyżej źródła Syloe szukać go należy.

Na pierwszym piętrze jest sala Wieczery Pańskiej, stanowiąca część dawniejszego kościoła z ostrołukami i pilastrami w murze, pochodzącymi z XIV. wieku.

Wyszedszy, doszliśmy do bramy Syonu Baben-Nebi Daūd — potem różnemi uliczkami dzielnicy żydowskiej przedostaliśmy się na obszerny plac, a następnie z terasy jednego, wysoko położonego domu żydowskiego patrzyliśmy na przeciwległe wzgórze Hakeldama, dolinę Gihon. Daleko aż do gór Moab po drugiej stronie Jordanu sięgała ta wspaniała panorama.

W murach miasta, życie, ruch — za murami nekropola pamiątek: groby i cmentarze, skaliste parowy, zasłane gruzami dawnych murów, baszt i wieżyc warownych, wyschłe lub w pół zasypane stawy i wodociągi, ale tradycja i podania umieją nazwać każdy kamień i dla tego chrześcianin obchodzący Jerozolimę zewnątrz murów może najsilniejszych doznaje wrażeń. W różnych porach dnia i nocy obchodziłem te mury i chciałbym czytelnikowi dać obraz żywy tych miejsc śmierci i grobów.

Kiedy w dzień słońca, wiosenny wyjdiesz bramą Damaszku, to zdaje ci się, że widzisz czasy Gotfryda z Bouillonu i patrząc

na te poszczerbione mury, czytasz w nich dzieje wojen krzyżowych.

Ta strona miasta najbardziej była wystawiona na pociski oblegających, bo ona łączyła się ze wzgórzem Beretha i Gareb, na którym dziś nowa część europejskiej Jerozolimy jest zabudowana. Inne strony miasta były nieprzystępne, bo otoczone głębokimi dolinami Joza-fata, Hiunom i Cedronu.

Przeszedłszy przed bramą Damasceńską ten plac, na którym się zawsze mieszczą to karawany wielbłądów z Beduinami, to trzody owiec z pasterzami i porozbijane namioty koczowniczych plemion, widzimy po prawej stronie wzgórze, w którym się grota Jeremiasza znajduje. Dzisiaj jest to wzgórze cmentarzem muzułmańskim, a nawet w grocie samej mieszczą się groby kilku świętych Islamu, zwanych Santosami.

W tej kolosalnej grocie, otworem do miasta zwróconej, prorok Jeremiasz treny swoje śpiewał.

Dalej ku prawej stronie znajdują się groby królów, nazwane tak niewłaściwie może, bo badania wykazały, że był to grób Heleny z Adiabene (w Kurdystanie), która w 50 lat po Chrystusie wiarę żydowską przyjęła. Pan de Sauley znalazł tam urny z popiołami, sarkofag i napisy żydowskie. Grób królowej Heleny jest w skale

kuty, po 25 stopniach schodzi się do przedsionka, potem do westybulu, który jest bardzo pięknym fryzem ozdobiony, a na nim widać jeszcze rzeźbione winne grona, symbol kraju obiecane go, gałęzie palmowe, dzbany, tarcze i tryglify.

Wejście do samego grobu ma tylko pół wysokości człowieka i było zamykane okrągłym kamieniem, który teraz na boku położony. Po trzech stopniach schodzi się do tylnej komórki, w której się trzy nysze grobowe znajdują i w jednej z nich znalazł pan Sauley ów sarkofag z kobiecym szkieletem. Chodzi się jeszcze po różnych zakamarkach i inne jeszcze nysze się widzi, ale już tu przyznać się muszę szczerze, że zawsze z pewnym wstrętem wchodzę do podziemi. W całej pełni jestem wyznawcą Szyllerowskiego „*es begehre der Mensch nie zu schauen, was die Götter bedeckten mit Nacht und Grauen*“. I istotnie jeszcze nigdy pod ziemią nie widziałem czegoś, coby mnie zachwyciło, ani groby Marietty w Sakorze egipskiej, ani groby Apisów, ani żadne inne „podziemne cuda“ nie zachwyciły mnie, nie wyjmując nawet Wieliczki.

Zdaje mi się zawsze, że kiedy człowiek co pięknego ma do stworzenia, to wyniesie to na ten piękny boży świat, na słońce, a nie będzie

się z tem chował pod ziemię. Zawsze pod ziemią doznawałem rozczarowania i przygnębienia, a kiedy się z jakichkolwiek ciemności wydobylem, to się cieszyłem każdą trawką, każdym kwiatem, a nawet piasek pustyni był mi milszym od podziemnych hieroglifów.

Z tego względu i z grobami sędziów szybko się załatwię. Prawdopodobnie chowano tam członków Sanhedrynu. Są one również w skałach kute i u wejścia pięknymi gzymsami zdobione, ale może tam nigdy „sędziów Izraela“ nie chowano, ponieważ w „grobach ojców“ składano zwłoki sędziów każdego szczepu. Niedaleko tych grobów rozpoczyna się dolina Jozafata, którą zamykają ze wschodu Góra Oliwna i Góra Złości, od północy Góra Scopus, od południa dolina Hinnom, a od zachodu miasto t. z. Góra Morriah, Ofel i Beretha. Oto dolina łez.

Ona była świadkiem cierpień Chrystusa Pana, w niej ogród Gethsemani. W niej męczeństwo św. Szczepana i tysiące grobów proroków i męczenników; w niej pełno podań i przepowiedni napełniających duszę ludzką trwogą i przerażeniem aż do dnia sądnego. Podanie to o końcu świata wpływa na naszą wyobraźnię i zwykliśmy w obszernych rozmiarach przedstawiać sobie tę dolinę Jozafata. Tymczasem długość jej zaledwie

ćwierć mili wynosi, a szerokość ledwie dwieście kroków. Podobną jest raczej do jaru zasłanego białymi kamieniami i skałami, a jest łożyskiem wyschniętej rzeki Cedronu.

Wyszędłszy z miasta bramą św. Szczepana, tak nazwaną od miejsca, w którym ten święty Diakon przez wysoką radę skazany i ukamienowany został, trzeba przejść jedyny most mурowany, jaki przez łożysko Cedronu zbudowano, by po lewej ręce ujrzeć front romańskiego kościoła pod wezw. „Wniebowzięcia Matki Boskiej“. Jest to kościół podziemny; po 48 stopniach schodzi się do właściwego przybytku. Po prawej stronie w skale wykuta kaplica zawiera ołtarz z grobem, w którym Najświętsza Panna dni kilka spoczywała. Kiedy wejdiesz, w pierwszej chwili nie widzisz nic, tak tu ciemno; dopiero zwolna rozpoznajesz najpierw po lewej ręce cysterne, w której bardzo dobra woda się znajduje, a później dopiero oko szukające w ciemnościach widzi światła barwnych lamp, palących się przed grobem Maryi. Ściany obwieszane starymi dywanami i te barwne, migocące światła, tajemniczy temu miejscu nadają urok. Dziś są szyzmatycy w posiadaniu tego sanktuarium.

Temi samymi schodami opuszczasz kościół i wchodzisz kilkanaście kroków po lewej ręce do

groty śmiertelnej trwogi Zbawiciela. Grota ta zachowana w stanie zupełnie naturalnym, należy do OO. Franciszkanów i oświetlona jest z góry małym otworem. Nie będę słów szukał na opisanie wrażenia, uczuć i myśli, jakie tu w duszy chrześcianina budzą wspomnienia cierpień Chrystusowych.

Stąd w kilka minut zaszedłem do ogrodu Gethsemani, który dzisiaj jest ogrodem kwiatów, pięknie utrzymanych, a wśród nich znajduje się ośm drzew oliwnych — ośm cennych relikwii. Pod temi zapewne drzewami Chrystus odpoczywał nieraz i rozmawiał z uczniami; z pośród tych drzew był zapewne pojmany, kiedy go uczniowie opuścili. Starożytność tych drzew nie ulega wątpliwości z tego względu, że drzewo oliwne jest omal nieśmiertelne, bo z pnia się odradza. Są one całkiem wydrążone i wewnątrz spruchniałe, aby zaś wiatr ich złamać nie mógł, napełniono je i obłożono kamieniami. Dochodzą one do ośmiu metrów objętości i robią wrażenie skał wśród tego ogrodu. W dzień jasny, słoneczny, wśród starannie utrzymanych grządek, zasłanych różnobarwnem kwieciami, trudno o nastrój odpowiedni bolesnym wspomnieniom; pogoda natury ma przewagę nad oddalonymi dziejami, a ogrodnik OO. Franciszkanów, który ci

wręcza kwiaty świeżo zerwane, gotów ci twoje sentymenta oblać koneweczką wody tak, jak te kwiaty oblewa. Pogodna natura ma tyle zdrowia w sobie, że nawet cmentarze rozwesela i znałem ludzi, którym cmentarz służył za cel przechadzki i bynajmniej smutkiem nie zaprószał ich umysłu.

Obok a raczej po nad ogrodem Gethsemani postawili Rosyanie kolosalną cerkiew. Zaszedłem tam, by zobaczyć obraz Wereszczagina (?); mam jednak najsilniejsze przekonanie, że obraz ten, przedstawiający niewiasty święte do grobu idące, którym anioł Zmartwychwstanie Chrystusa opowiada, nie jest pędzla tego malarza, osławionego właśnie przez niereligijne przedstawianie scen z pisma świętego. Wątpliwości moje wypowiedziałem temu, który w tej cerkwi oprowadza i objaśnia (?) podróźnych; zapewnienia jego nie zdołały mnie jednak przekonać: jegomość ów rozgadał się płynną francuzczyzną o dobroci carów i zapewniał, że car, gdyby chciał, toby zajął i Berlin i Paryż, ale nie carowi na tem nie zależy, cara bowiem uwaga wyteżona jedynie na Ziemię świętą i dla jej zdobycia już tyle krwi przelał, że ona na zdobycie Europy byłaby wystarczyla. Mówił to tak płynnie, że widocznem było, iż co dnia te same frazesy wszystkim

pątnikom recytuje. Szczęściem byłem w towarzystwie Niemców, bo Polaka posądzonoby o przesadę i możeby nie wierzono, że takie komentarze otrzymują pątnicy na Górze Oliwnej. Ku rozwehleniu wszystkich, opowiadaliśmy dnia tego przy obiedzie w hospicium o krwi przelanej dla Ziemi świętej przez Rosyan, nie mogliśmy jednak w żaden sposób podobnej krucyaty odnaleść, a jeno przysłała nam na pamięć krew OO. Franciszkanów, niedawno przelana w Betlehem i różne inne zaborcze zachcianki popów, którzy przed żadnym środkiem się nie wzdrygają, by wejść w posiadanie miejsc świętych. Wszędzie polityka, nawet na Górze Oliwnej polityka!

Na szczycie góry jest miejsce, z którego Chrystus do nieba wstąpił; w miejscu dawnego kościoła św. Heleny stoi tu mały meczet ośmio-kątny, w którym się znajduje kamień z śladem stopy Chrystusowej. Widocznie jest on w wielkiem u Turków poważaniu, bo nasz młody przewodnik Muzułmanin ucałował go z pietyzmem.

W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego obchodzą tutaj OO. Franciszkanie solenne nabożeństwo; ściany tego małego meczetu obwieszają dywanami, ustawiają dwa ołtarze, do południa czytają Msze św., poczem z procesją wychodzą aż do miejsca „Viri Galilaei“.

Panorama z tego miejsca jest wspaniała, ale trzeba wyjść na minaret obok stojący, by ją z lepszego jeszcze oglądać stanowiska. Przedemną na zachód dolina Jozafata zasłana grobowcami, mury Jerozolimy z bramą złotą, meczet Omara wraz z całym dziedzińcem, ponad miastem dalej góry Judei, więcej ku północy niebieski szczyt Nebi Samuel i góry Efraimskie, ku południowi, jak nić złota, droga do Betlehem wiodąca, klasztor Eliasza, z pośród gajów oliwnych się wyłaniający, dolina Raphaim, Góra złej Rady, dolina Hinnom i kamieniste pole Hakeldama, na południe Góra Złości, a po za nią Góra Franków, sylwetująca się szczybato, — a ponad wszystko najbardziej czarujący wschód, bo tu dolina Jordanu, Morze martwe, a po za niem góry Moab. Tu wzrok najdalej sięga, a gra barw ma jakiś urok mistycyzmu. Widzisz płaszczyzny i drogi schodzące w dół, a w dole, jakby nić srebrna, wije się rzeka Jordanu, a po za nią, jakby inny świat, wyrastają ku górze fioletowe szczyty. To wszystko, choć tak dalekie, zdaje się tak bliższe, jakby na odległość strzału oddalone i widzisz prawie jak w wodach Martwego morza odzwierciadlają się wybrzeża i otaczające je góry.

Kilkakrotnie w różnych porach dnia napa-
wałem oko tym widokiem i przekonałem się, że

jedynie nadzwyczajna przejrzystość powietrza sprawia ten czarujący urok, bo znosi oddalenia i wydobywa przez to tysiące odcieni bardzo subtelnych barw, których przejścia z jednej w drugą są prawie niepochwytnie i mają dla oka ten urok, jaki dla ucha sprawia bogata instrumentacja wielkiej orkiestry.

Góra Oliwna ma historję kilku tysięcy lat, a jednak nie wiem, czy zaszła na niej większej doniosłości sprawa, jak wymówienie kilkudziesięciu wyrazów modlitwy, która ludzkości nowy stosunek między Bogiem a człowiekiem zakreśliła.

Rzucił Chrystus tych kilkadziesiąt słów, jak rolnik ziarno w ziemię rzuca, a kilkunastu uczniów rozniosło je po świecie całym — i jeśli dzisiaj „Ojcze Nasz“ wypisane w 32 językach na ścianach klasztoru Karmelitanek, głębokie na nas sprawia wrażenie, to czemuż są one wobec wszystkich języków globu, w których codziennie do nieba ta modlitwa się wznosi.

Klasztor postawiony tutaj przez księżnę de la Tour d'Auvergue w roku 1869, znaczy to miejsce, w którym Chrystus przed blisko dwoma tysiącami lat w języku ojczystym na Górze Oliwnej wymówił „Ojcze Nasz“, a które zdało mi się ziarnem drzewa rozłożystego, wrzuconem

w ziemię, a rozkładającego dzisiaj konary swoje ponad całym globem. Szczęśliwy ten, który w cieniu tych konarów wie dzie swój żywot, a nie wychyla głowy na skwar pałacy. Temu ziemia daje „pokój“ a tamtym „ogień“.

Kiedy się dobijałem do jakiejś bocznej furty tego klasztoru, nie znając jeszcze właściwego wejścia, otwarła mi ją zakonnica murzynka, czysto afrykański typ z Sudanu. Była tak uprzejma, podając mi wino z wodą, tak inteligentna, mówiąc piękną francuzczyzną, tak pełną wdzięku przez swoje miłe obejście, że zupełnie nie doznawałem wrazenia bezwzględnie obcej, a nam Europejczykom często wstrętnej rasy, ale czułem prawdziwą rodzinną sympatyę względem tej czarnej Siostry, którą właśnie to „Ojciec Nasz“ do jednej wielkiej rodziny włączyło.

Z pośród tysięcy grobów, przykrytych białymi kamieniami, podobnych do białych grządek wśród zielonych traw, wznosi się w dolinie Jozafata pomnik, grobem Absalona zwany, wykuty ze skały żywej. Jest to sześcian, którego każdy bok 6 metrów szeroki, ozdobiony jest jońskimi płaskosłupami, z wieżyczką podobną kształtem do butelki i otoczony rumowiskiem i kamieniami, które rodzice, przechodząc z dziećmi, podnoszą i ciskają na pomnik na znak wzgardy dla

Absalona, by dzieciom należycie wpoić czwarte przykazanie.

Obok grobu Absalona stoi grobowiec Jakóba młodszego, pierwszego biskupa Jerozolimy, który na rozkaz Heroda z dachu świątyni strąconym został i śmierć męczeńską poniósł. Doryckie słupy i fryz z tryglifami zdobią ten pomnik, jakoteż obok stojącą piramidę Zacharyasza przez żydów zamordowanego.

Te kilka tysięcy lat liczące grobowce pozarastały chwastem i trawami, które się pomiędzy szczelinami kamieni usadowiły, zatarły już wszelkie napisy i rzeźby, jakich się jeszcze tu i owdzie domyślać można.

Na stoku tego wzgórza, jakby gniazda do skał przyczepione, powstały domy, kute z kamienia, tworzące wieś zwaną Siloah. Konstrukcyja tych domów jest tak odwieczną i prymitywną, że z całą pewnością przyjąć można istnienie tych mieszkań od czasów Chrystusa. Z tego względu z żywym zajęciem przyglądałem się wszystkiemu i przekonałem się, że bardzo wiele grobowców zamieniono na mieszkania i stajnie. Amfiteatralnie piętrzy się cała ta wieś ku górze i jest zamieszkałą przez muzułmanów, którzy żyją z roli i chowu owiec, ale zdaje się, że i rabunek nie jest im rzeczą obcą.

*

Opodal tej wsi stoi wielki budynek przeznaczony na mieszkanie dla trędowatych. Straszny jest los tych nieszczęśliwych, ale zarazem nie można bez wstrętu przejść obok grupy tych ludzi, którym brak rąk lub palców, nosów lub oczu, a przytem różne narośla, szpecąc ciało chorych i przekształcając formy ludzkie, czynią z nich straszne, monstrualne potwory. Liczba ich w Jerozolimie nie wynosi obecnie więcej nad czterdzieści osób, ale mimo to bardzo często spotyka się z nimi każdy czy w dolinie Cedronu czy na drodze do Jaffy.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie na mnie sprawił widok kaleki w puszczy Sakary. W dzień upalny jechaliśmy konno przez pustynię piasku ku piramidzie schodowej. Cieszyłem się wielce tem ciepłem, tem niebem, wiatrem i piaskiem. Nagle zaczął ku mnie na rękach podrzucać się człowiek, którego pokręcone uogi były tylko jakimiś nieforemnie koszlawymi kształtami ciała i głosem ochrypłym prosił o jałmużnę. Wszyscy towarzyszy moi odczuli jego położenie i każdy rzucił mu pieniądz, ale jadąc dalej nie mogłem się uspokoić. Obraz tego kaleki, wijącego się wśród morza piasku, stał mi przed oczyma i myśl zwróciła się do Boga, który w pustyni, zda się, jest blisko, bezpośrednio prawie i począłem.

rozzewniony dziękować za te łaski, jakie zlał na mnie i uczułem mnogość tych skarbów, jakimi Bóg mnie obsypał, porównując się ciągle z tym nieszczęśliwym, żyjącym w pustyni i oczekującym jałmużny od karawany, która czasami przemknie się przez te piaski. Począłem potem dalej snuć myśli z tego spotkania i widziałem jak wielu żyje w najnieszczęśliwszych warunkach w mieście, a te wystarczyłyby im, by byli szczęśliwymi w puszczy, lub wśród jakiejś okolicy dzikiej, a pogodnej urokiem słońca, a szczęśliwej wonią kwiatów i pól. I widziałem, jak ludzie są nieszczęśliwi tem najbardziej, że walczą ciągle wśród tych samych stosunków, wśród tego samego otoczenia, walczą ciągle o te same rozpoczęte kwestye a tymczasem, gdyby mieli energię, zerwać zupełnie z tem, do czego przywykli, gdyby mieli energię do rozpoczęcia zupełnie nowego życia wśród zupełnie różnych warunków, toby życie dla nich nowego nabrało uroku. Świat szeroki, świat boży wszystkich jeszcze pomieścić zdoła, a dla serc złamanych boleścią, dla serc zwątpieniem ogarniętych, dla zrozpaczonych, znajdują się wśród tego szerokiego świata leki. Ptaki w polu, kwiaty na łąkach dadzą ci szkołę życia i zrozumiesz. co Chrystus mówił o liliach białych i pojdziesz

dlaczego wróbel z dachu nie spadnie bez woli bożej. Chcesz wynieść cało duszę twoją z tych tysiącznych matni i walk, to zdobądź się na porzucenie otoczenia twego; z oddali, z pogodą przyjrzesz się obrazowi, którego nie jesteś w stanie objąć spojrzeniem, mając nos przy płótnie. A jeśli ci już bardzo źle na świecie, to wspomnij tego żebraka kalekę, który pogięty na rozpalonym piasku się czółga, wspomnij go i śpiewaj hymn pochwalny Panu i zwróć się ku Niemu jako kwiat ku słońcu.

Smutniejszą od pustyni jest ta okolica grobów, ponad którą „Góra złej Rady“ i „Góra Złości“ się rozłożyły. Tutaj jakby się każdy obraz przeszłości wysilił na to, by dać karm najsmutniejszym uczuciom, tutaj przeszłość i teraźniejszość odkrywają złość ludzką w całej pełni, a krwawe pole „Hakeldama“ przekazuje wszystkim przyszłym pokoleniom haniebną zdradę Judasza.

Kiedy się jeszcze rozważy, że nazwa tej doliny, która rozdziela „Górę złej Rady“ od Jerozolimy, jest „Hinnom“ czyli „Gehenna“, co znaczy piekło, że tutaj Molochowi ofiary w dzieciach palili rodzice, a nawet król Manasus sam syna swego ofiarował, kiedy się wspomni, że „Góra Złości“ tak nazwana od czasów Salamona,

kiedy ten przez postawienie tutaj świątyni dla bożka naród swój poruszył, a „Góra złej Rady“ nazwana tak od zebrania tej rady żydowskiej, która w domu Kaifasza śmierć Chrystusa postanowiła, — to łatwo zrozumie każdy ponurość tych miejsc, której nawet blask słońca i szmer liści nie rozprószy, bo tradycya umie nawet drzewom nadać grozę wskazując drzewo figowe, na którym się Judasz obwiesił.

Skończywszy naszą wędrówkę koło murów Jerozolimy, chciałbym jeszcze o murach samych coś powiedzieć. Patrząc na materiały do ich budowy używany, odróżniamy pięć różnych rodzajów kamienia, z których każdy innej epoce przynależy. Najdawniejszych czasów Dawida i Salamona sięgają te kamienie, które mają na stronie zewnętrznej brzeżek ociosany, a resztę płaszczyzny pozostawioną w surowym stanie; tych kamieni pod piwnicą szukać należy i to kilkanaście metrów pod dzisiejszą powierzchnią one są kładzione jeden na drugim bez wapna, a tak szczelnie do siebie przylegają, że nawet ostrza noża nie mógłbyś włożyć pomiędzy ich szczeliny. Mury te nie są prostopadłe, bo każdy kamień wyżej położony jest o kika milimetrów cofnięty. Na około całego dziedzińca świątyni są jeszcze takie mury, a w Hebronie widziałem je także.

Następnie są kamienie również brzeżkowane ale z gładką powierzchnią, dalej wielkie, gładko ociosane ale bez brzeżków, dalej mniejsze kamienie tego samego rodzaju i wreszcie mury z nieregularnych kamieni budowane. Mur, pod którym żydzi opłakują upadek Jerozolimy, wskazuje nam również różnaitość tych kamieni. Dolne jego warstwy posiadają bryły cztery do pięciu metrów długości. Kto się dobrze przypatrzy tym kamieniom, ten odgadnie wiek każdej budowy, odróżni czasy Salamona od czasów Heroda, budowy Krzyżowców od muzułmańskich. Mowa kamieni jest w tym kraju tak zrozumiałą, że z pismem świętem możemy powiedzieć: „gdyby ludzie milczeli, to kamienie mówić zaczęą“.

V.

[Wycieczki do Jordanu i Morza Martwego. — Betonia. — Grób Łazarza. — Beduini panami pustyni. — Dolina Jordanu. — Jerycho. — Polityka europejska w hotelu Jordanu. — Morze Martwe i jego początek. — Woda Jordanu i miejsce chrztu Chrystusowego. — Pielgrzymi rosyjscy. — Opinia polskich pielgrzymów. — Góra Kwarantany. — Anachoreci a ludzie czynu.]

W licznem towarzystwie wyruszyłem 31. marca rano do Jordanu i Morza Martwego. Bramą św. Szczepana wyjechaliśmy konno, jedni na siodłach angielskich, inni na wschodnich kulbakach, poubierani fantastycznie z kefią arabską na głowie, uzbrojeni w rewolwery i karabiny pod przewodnictwem dragomanów i mukrów, a piękny dzień słoneczny podnosił grę barw tych przeróżnych kostyumów. Dragomani mają zwyczaj popisywania się swoją jazdą, to też zwykle najlepszego konia dla siebie wybierają i wyprawiają na nim rozmaite fantazy, które

nawet spokojnego jeźdźca do galopu zmuszają. Przebyliśmy dolinę Cedronu i wzdłuż Góry Oliwnej zajechaliśmy do Betanii. Wieś ta zamieszkała jest tylko przez Mahometanów; z pośród figowych, oliwnych, migdałowych i świętojańskich drzew wystercza ruina wieży przez krajowców postawionej. Zatrzymaliśmy się przed grobem Łazarza, który jest w ręku Muzułmanów, bo go oni za świętego uznają. Nie robi on wprawdzie wrażenia grobu żydowskiego, gdyż jest murowany, ale pochodzi to stąd, że kiedy krzyżowcy nad nim kościół stawiać mieli to musieli zwietrzały kamień grobu Łazarza wzmocnić murem. Dwie izby stanowią ten grób, w pierwszej jest czworoboczne podmurowanie, które OO. Franciszkanom służy jako mensa w czasie czytania Mszy św.

Charakterystyczną jest złośliwość dzieci tej wsi, bo mają zwyczaj rzucania kamieniami za przechodniami, co nieraz niemiłe sceny wywołuje. Miałem sposobność i w innych czysto muzułmańskich miejscowościach zauważyć ten zwyczaj, który się z fanatyzmu wywodzi, a od czego jedynie ochronić się można tem, że się bierze na przewodnika pierwszego lepszego mieszkańca tej miejscowości, na co się każdy godzi za skromnem wynagrodzeniem.

Opuściwszy Betanię, otrzymaliśmy do naszego towarzystwa młodego Araba, czyściuchno, lekko i świątecznie ubranego, którego szeik Beduinów dał jako asekuracją przeciw możliwym napaściom.

Dolinę Jordanu uważają Beduini za swoją własność i nakładają trybut na każdego podróżnika, który w ich terytoryum wchodzi. Za umówioną opłatą pięciu franków dziennie dostaliśmy tego młodzieńca z karabinem na ramieniu w jedwabnym kaftanie i keffi na głowie i już mogliśmy być pewni, że nam w naszej podróży żadne indywiduum drogi nie zajdzie. Zdarzało się często, że kto się nie poddał temu zwyczajowi krajowemu, to przepłacił upór swój nie tylko monetą, którą mu zabrano, ale i całą garderobą, którą niejako za karę za lekceważenie praw Beduinów odbierają śmiałkowi, puszczając go w ten kraj biblijny w stroju Adama. Rząd nie może takich zwyczajów narodowych znosić, bo one ściśle związane są z całym ustrojem i pojęciem poszczególnych szczepów. Ostatecznie za tę opłatę dostaje się kapitalnego chłopca, z orlim nosem i spojrzeniem orlim, stąpającego leciuchno obok konia, do różnych posług gotowego, a dla malarza był on ciekawym modelem, którego zawsze w chwilach wypoczynku malowałem to na

tle piasku, to na tle zieleni lub kamiennego muru.

W parę godzin po opuszczeniu Betanii natknaliśmy się studnią Apostołów, jedyną jaką się w drodze do doliny Jordanu znajduje. Można więc z całą pewnością twierdzić, że się przy niej Apostołowie zatrzymywali po drodze do Jerozolimy.

W korycie tego źródła poją dzisiaj konie, wielbłądy i osły; jest tam zawsze ruch i życie, a w postawionym opodal drogi domu sprzedają kawę, lemoniadę, pomarańcze i inne przysmaki wschodnie.

Pomiędzy amfiteatralnie rozłożonymi górami wznosi się droga aż do wypoczynku zwanego Domem miłosiernego Samarytanina, który stoi jakby w puszczy, otoczony piaskami i czerwonym kamieniem, przypominając żywo piaski Egiptu i domu Marietty. Tu się zawsze podróżnicy zatrzymują i spożywają śniadanie, które drógmani z koni zładowują. Prowiant ten składa się zwykle z sardynek, twardych jaj, zimnej baraniny, sera, pomarańcz i wina, a chociaż na pozór zdają się to być ciężko strawne rzeczy, mam jednak to przekonanie, że nawet najwątleszy organizm doskonale się z tem pogodzi ze względu na ruch ciągły i świeże powietrze.

Pokrzepieni wyruszyliśmy z tego Kanu i wkrótce rozsunął się przed nami przepyszny widok doliny Jordanu. Słowa nie oddadzą ni tej przestrzeni niezmierzonej, ni tej gry barw majestatycznej i subtelnej, ni tych płaszczyzn szerokich i prostych, a przecież misternie zwolna się spływających — ale myśl ludzka czuje, że staje wobec kolosalnego dziejowego tła, które jest dzisiaj takim, jakim było przed kilku tysiącami lat, — ale oko szuka tłumów idących za słowem bożem...

Stąd nasyciwszy oczy tą wspaniałą panoramą schodziliśmy ciągle w dół i trzy tysiące stóp zniżyliśmy się, bo różnica położenia między Jerozolimą a Jerychem przeszło tysiąc metrów wynosi.

Opodal Jerycho jest basen *Ain es-Sultan* albo studnię Elizeusza zwany, który temu prorokowi wodę swą zawdzięcza i dziwna rzecz, że kiedy wszystko w tej okolicy solą jest przesieknięte, ziemia nawet i wszelkie inne strumyki, to woda tego źródła jest słodka i przejrzysta. Nie mogłem się więc oprzeć pokusie, tropikalnym gorącym rozpalony i rzuciłem się w ten basen, rozkosznej używając kąpieli. Towarzysze moi nie dowierzali, bym się tak zegrzany w zimną rzucił wodę, ale ja już przez ks. Kneippa

pouczony, wiedziałem, że tem skuteczniejsza kąpiel, im więcej ciało zegrzane i bez trwogi używałem z rozkoszą zimnej wody, a potem pieszo puściłem się drożynami, wśród samych ogrodów wijącemi się, do Jerycho.

Za dawnych czasów wegetacya tego grodu, zwanego „Miastem palm“, była wspaniała, dzisiaj zaledwie jeszcze ta alea może o tem pewne dać pojęcie, bo miasto same, prócz kilkudziesięciu nędznych lepianek, żadnego śladu dawnej wielkości i okazałości nie zachowało. Położenie nawet dawnego Jerycha było inne, bo leżało ono na zachód od dzisiejszego i było pałacami Heroda ozdobione, a Łukasz ewangelista wspomina o „cienistych sykomorach“, których dzisiaj daremnie byś tu szukał.

Prócz hotelu „Jordanu“, bardzo przyzwoicie zresztą utrzymanego przez Węgry, i wielkiego hospicyum rosyjskiego, żadnych innych budynków nie ma.

Rosyanie tłumami tu pielgrzymują, bo kąpiel w Jordanie stanowi niezbędną część pielgrzymki do Ziemi świętej. Widziałem, jak wieczorem w wielkim ogrodzie tego hospicyum odprawiali nabożeństwo i nie zapomnę nigdy ruchów głowy jednego popa, przypominających obrzędy derwiszów.

Niedaleko od źródła Elizeusza wznosi się góra Kwarantany, na której Chrystus 40 dni i nocy pościł i przez szatana był kuszony.

Dzisiaj wskazują jeszcze miejsce, gdzie szatan Chrystusowi skarby świata obiecywał, chcąc by mu się pokłonił. Resztki murów i absydy świadczą o tem, że stał tu kiedyś kościół. Dzisiaj prócz kilku greckich anachoretów, żyjących w grotach życiem pustelniczem, żadnych innych nie ma mieszkańców. Mimo to te rozpadliny nagich skał wielkie sprawiają wrażenie i wywołały w wyobraźni mojej szereg obrazów. Pod wieczór słońce zachodzące gorące rzucało żary na te skały, których fioletowe cienie fantastyczne tworzyły kształty i w miarę jak się słońce zniżało, góra zdała się zaludniać żyjącymi postaciami, które się rozplynęły następnie w szarym półtonie zmroku.

W Jerycho poznałem Amerykanina Blisa, który wiele ważnych wykopalisk w Jerozolimie uskutečnił, a obecnie wracał z za Jordanu, gdzie całe miasto rzymskie odkopał i wiele ciekawych napisów odkrył, które nie jedną rzecz z historii Palestyny wyświecają. W hotelu Jordanu zatrzymują się niemal wszyscy przejezdni; gwarno tu więc i wesoło w czasie obiadu, jedni po angielsku, inni po niemiecku, lub po francusku

się rozmawiają, stąd nie brak czasami starć wynikających ze sprzecznych opinii. Byłem i ja świadkiem takiej sceny. Pod koniec obiadu kazała sobie pewna grupa Niemców o wybitnym pruskim akcencie podać wina szampańskiego, by jak się pokazało wychylić toast na cześć Bismarka, w rocznicę jego 80 urodzin. Oczywiście odmówiłem udziału w tej manifestacji, oświadczając, że jako Polak, nie mogę podzielić ich adoracji. Wówczas kilku Hanowerczyków oświadczyło, że nie mają właściwie żadnego *Beweggrund* do picia tego zdrowia i w kilka minut zgodziło się wreszcie wiele osób na moje zdanie, że Bismark powstrzymał rozwój wolności i że go nie można uważać jako czynnik dodatni w życiu narodów.

Ten epizod przypominał mi żywo politykę europejską, o której się w Ziemi świętej, nie mając wcale pism w ręku, zupełnie nie myśli — a jak z tem dobrze!

Wczesnym rankiem dnia następnego, a było to 1. kwietnia, wyruszyliśmy z Jerycho do Morza Martwego. Im więcej schodziliśmy ku dołowi pomiędzy piaszczystymi wzgórzami, tem bardziej paliły nas promienie słoneczne; drapieżne ptactwo krążyło ponad naszymi głowami, a blask od wody idący, raził nasze oczy. Dopiero około dziesiątej

godziny doszliśmy do tego najniższego miejsca naszej planety, leżącego około 400 metrów poniżej powierzchni morza Śródziemnego.

Zachodni brzeg morza Martwego jest bardzo płaski i krzemieniami zasłany, wśród których leżą gałęzie suche, sprowadzone przez Jordan, a przez morze na brzeg wyrzucane. Mimo braku wszelkiej vegetacji, przecież piękny widok przedstawia ta wielka, spokojna płaszczyzna, odbijająca szafir nieba, otoczona górami Moab od wschodu, a górami Judei od zachodu.

Na brzegu rozścielono nam arabską abaję i zaczęliśmy się rozbierać, by jak najprędzej spróbować tej sławnej kąpieli. Mylnem jest twierdzenie, jakoby miazmaty unosiły się w powietrzu. Woda jest przezroczysta jak kryształ, robi jednak wrażenie oleju, bo jest gęsta tak, że zupełnie nie umiejący pływać, może się położyć na znak i leży jak drzewo, do połowy z wody wystając. Nadzwyczaj nieprzyjemną jest ta woda w smaku, słono-gorzka, a gryząca, kiedy się do oczu dostanie wskutek chlormagnesium, zaś oleista wskutek chlorcalcium; nie ma w niej żadnego żyjątka, ani muszli, ani koralu.

Jak to dziwne morze powstało? Pytaniem tem zaprzętali sobie uczeni długi czas umysły,

jedni twierdząc, że z wulkanu, inni, że z zapadnięcia się ziemi, inni wreszcie, że pierwotnie z morzem Czerwonem w związku było; tymczasem wszystkie te hipotezy nie były w stanie obalić tekstu biblijnego o upadku Sodom i Gomory.

Podania naszego wieku potwierdzają prawdziwość ksiąg mojżeszowych, a Amerykanin Lynch mówi: „Niechaj uczeni nasze troskliwe badania wyjaśnią, dla nas rezultat nie jest więcej wątpliwym. Z różnemi poglądami przybyliśmy do tego morza, ale po dwudziestodwudniowym badaniu wszyscy zostaliśmy przekonani prawdą biblijnego opowiadania i wiemy, że wszystko, co o tem morzu i Jordanie w biblii się znajduje, przez nasze spostrzeżenia potwierdzonem zostało“. Lynch zamyslał nawet ruiny zburzonych miast odnaleść.

Widziałem, jak Jordan do morza Martwego wpada; w kilka tygodni potem widziałem, jak z jeziora Tyberyady wypływa. Wzdłuż brzegu Jordanu puściliśmy się konno ku temu miejscu, gdzie wedle tradycyi Jan św. chrzczył Chrystusa. Brzegi rzeki zarośnięte drzewami i krzewami, wśród których roje ptactwa szebiotały bezustannie, — miłe dla oka sprawiały wrażenie i przypominały słowa pierwszej księgi Mojżesza,

które mówią, że kiedy się Lot z Abrahamem rozstawał, kraj ten wyglądał, jak raj Boży, użyźniany wodą jak Egipt. Prawdopodobnie morze Martwe było wówczas wyżej położone i wskutek tego spadek Jordanu nie był tak wielki; w czasie zimy wylewała się zatem rzeka po za brzegi i użyźniała wielką przyległą równinę, była zatem dla Palestyny tem, czem Nil dla Egiptu.

Te wylewy zmuszały mieszkańców do zakładania miast wyżej; stąd widzimy resztki miast Pentapolis na stokach gór. Pomiędzy morzem Martwym a jeziorem Tyberyady spadek Jordanu wynosi dwieście metrów, dlatego bieg tej rzeki tak rwący i wirowaty, że czasami kąpiel w Jordanie jest niemożliwą. To też kiedy przybyliśmy do miejsca chrztu Chrystusowego, dowiedziałem się, że od kilku tygodni nikt się tam nie kąpał, a to od czasu, kiedy Amerykanin jeden utonął bez śladu. Nie chciałem jednak pozostać bez wspomnienia kąpieli w Jordanie i widząc na brzegu łódź, w której siedział anachoreta grecki, postanowiłem z tej łodzi rzucić się do Jordanu. W tym celu obwiązałem się sznurem, którego koniec poleciłem trzymać temu anachorecie, a sam używałem zimnej kąpieli w rwącej wodzie, która ze mnie zarazem sól morza Martwego zmyła.

*

Później tą samą łodzią odbyliśmy małą podróż pod wodę Jordanu. Po prawej ręce wznosiła się stroma ściana gór, z której rdzawym szlakiem spływały ciepłe źródła do rzeki, po lewej gaje wierzb, wśród których wysterczały topole (*populus eufratica*) i tarfa.

Z powrotem natknęliśmy na wielkie kompanie pielgrzymów rosyjskich, którzy chrzest w Jordanie jako koniec swej pielgrzymki do Ziemi świętej uważają, a trzeba im przyznać wielki zapał religijny w wykonywaniu praktyk i przy zwiedzaniu miejsc świętych. Rząd popiera te pielgrzymki i ułatwia na wszelki możliwy sposób swoim poddanym przyjazd do Ziemi świętej. Za podróż z Odessy do Jaffy i z powrotem pobiera tylko 25 rubli i tem umożliwia tak wielkie karawany, że czasami dochodzą one do kilku tysięcy.

Nasi pielgrzymi z Litwy i Korony również z temi kompaniami przybywają, ale się już w Jaffie odłączają i w kilka lub kilkanaście osób odbywają sami pielgrzymkę po Ziemi świętej, szukając zawsze schronienia u OO. Franciszkanów.

Napotykałem pielgrzymów polskich w różnych miejscowościach, a wszędzie mają oni jak najlepszą opinię, odznaczając się wielką nabożnością i wytrwałością. Brat Jan w Nazarecie,

kiedy chce określić, jak bardzo ciężką była droga do przebycia, mawia: „Nawet Polacy, którzy są z żelaza, byli pomęczeni“.

Wspomniałem o anachoretach, żyjących to nad Jordanem, to na górze Kwarantany. Chciałbym więc o nich słów kilka powiedzieć. Każdy z tych ludzi pości przedewszystkiem całe życie, a następnie zajęty jest jakąś jednostajną pracą i tak: jeden wyrzyna łyżki w drzewie mozolną ornamentyką zdobne, inny maluje na kamieniach z Jordanu scenę chrztu, inny jest wioślarzem na czółnie i przewozi pątników, a każdy ma brodę, długie włosy i strój popa, każdy mało-mowny i cichy i zdaje mi się, że niemal każdy, mając bardzo ograniczony zakres pracy, ma również ograniczony umysł.

Opowiadał mi ktoś dobrze poinformowany, że byli tacy anachoreci, którzy cały rok pletli rogózki, a następnie wszystkie palili, chcąc dać dowód pogardy dla własnej pracy i bezużyteczności rąk ludzkich. Zdaje mi się, że taki fakt świadczy najwymowniej o niezrozumieniu słów Chrystusa, bo najsamprzód większą byłaby korzyść, gdyby byli rozdali bliźnim te rogózki, powtóre czas sam byłby zniszczył ich pracę, bo i większe dzieła rąk ludzkich niszczy, a po trzecie zakopać wszelkie dary Boże, odmówić

rozumowi wszelkiej władzy i żyć bezużytecznie, choćby w modlitwie, która nie ma żadnej wartości, jeśli nie prowadzi do czynów na chwałę Bożą, to dowód ograniczenia, dowód niezrozumienia życia Chrystusowego, które było ciągłym trudem, dowód niezrozumienia Apostołów, których życie było czynem, walką i ofiarą. Jeżeli kto, to właśnie tacy anachoreci najbardziej do buddystów są zbliżeni, chcąc się rozpuścić w nicości. Niestety, inne przeznaczenie Boże dla ludzi i zdaje mi się, że o tyle większą jest wartość każdego z nas przed Bogiem, im więcej zwalczonych trudów, im więcej przeżytych cierpień wśród walk, im więcej ofiar i czynów dla bliźniego spełnionych.


Widziałem ludzi, o którychbym powiedział, że byli zadyszani życiem, ciągle im było spieszo, by działać i robić, ustawicznie budzili ducha swego do gorliwości, ni chwili wypoczynku sobie nie użyczyli; o takich mam przekonanie, że kiedy do snu wiecznego zamkną powieki, to im Chrystus powie:

„Pójdźcie błogosławieni do Ojca mego!”



VI.

[Wycieczka do Betlehem. — Klasztor Mar Elias. — Ludność okoliczna i piękność Betlemitek. — Grobowiec Racheli. — Grota pasterzy. — Grota Narodzenia Chrystusa Pana. — Walki różnych wyznań na miejscach świętych. — Droga do Hebronu. — Stawy Salomona. — Starożytność zabytków. — Klimat Palestyny. — Dolina Abrahama. — Hebron. — Groby patriarchów. — Konserwatyzm muzułmanów.]

 piękny dzień słoneczny wyruszyliśmy bramą Jaffy do Betlehem. Każdego pielgrzyma, który po raz pierwszy do Ziemi św. przybył, trawi gorączka, by jak najrychlej te miejsca obaczyć, które mu wyobraźnia malowała najpierw dziecinna, kiedy szopki oglądał, później młodzieńcza, kiedy czytał opisy podróży, a wreszcie ciekawość z nabożeństwa pochodząca. Malarza oprócz tego jeszcze inna ożywiała gorączka: poznać tło tych scen, które w tysiącach obrazów w myśli się snuły, zbliżyć się do tej rzeczywistości i podpatrzyć jej cechy charakterystyczne

a poznawszy, nadać następnie wyobraźni swojej siłę, która w prawdzie najniezawodniejsze ma źródło.

W dwie lub trzy godziny można pieszo zejść do Betlehem; wygodny gościeńiec spada najpierw w dolinę Hinnon, a następnie wznosi się aż do klasztoru Mar Elias, otoczonego wielkimi ogrodami oliwnymi. Pod jedną starą oliwką naprzeciw klasztoru jest kamień, na którym krzyż wyryty oznacza miejsce, gdzie Elias spoczął ścigany przez Achaba i Jezabel.

Każda postać niemal, którą na gościńcu spotkaliśmy, była godną pędzla, czy to Arab z wielbłędami, czy pop na osiołku, czy żyd wracający od grobu Racheli, ale najbardziej zajęła naszą uwagę piękna Betlemitka, która szybkim krokiem, kołysząc się harmonijnie zdążała z Jerozolimy do domu.

Zdziwiony byłem jej pięknem; oczy ciemne patrzyły na nas z pod ciemnych brwi z taką powagą, że graniczyła niemal z surowością, nossek prześliczny z pośród tych prawie schodzących się brwi spływał lekkim garbkiem ku dołowi, a przez usta leciuchno rozwarte przebłyskiwały białe zęby, odbijające od smagłej cery; policzki silne kątami się rysowały, obramione białym welonem, który spadał z wysokiego

ubrania głowy i poruszał się, falowany powiewem wiatru i ruchem ciała.

Niebieska koszula, czyli tunika, sięgała aż do kostek, przewiązana w pasie i uwydatniała korzystnie kształty jej wysmukłej postaci. Przypatrywałem się długo tej pięknej, młodej kobiecie i myślałem, że jeśli w Betlehem takich więcej, to nie daremnie powstała tam legenda, wedle której Madonna pięknem i dziewiczością obdarza mieszkanki tego grodu. Oto po narodzeniu Chrystusa pielęgnowały Matkę Boską w słabości Jej Betlemitki i za to takimi wdziękami obdarzone zostały.

Choć później w mieście samem wiele niewiast widziałem, żadna jednak nie dorównywała tej, którą na drodze spotkałem.

Po prawej stronie gościńca stoi grobowiec Racheli, żony patryarchy Jakóba, ozdobiony kopułą; dawniej był on muzułmańskim meczetem, dzisiaj zaś należy do żydów i jest w wielkim u nich poważaniu.

Im bardziej zbliżaliśmy się do miasta, tem więcej widzieliśmy pól uprawnych i rolników na roli pracujących, tem więcej trzód długouszych owiec i pasterzy, ciskających od czasu do czasu kamieniami za temi owcami, które się zbyt od trzody oddalały; tem więcej pasących się

wielbłądów, które na wysokich nogach powolnie się kołysały, a kiedy wkrótce doszliśmy do tego pola, na którym „anioł pasterzom mówił“, to zdało się nam, jakby to gdzieś tak niedawno się działo, że nic od tego czasu tu się nie zmieniło jeszcze, a kamienie tej grotty zdawały się rozbrzmiewać dźwiękami *Gloria in excelsis Deo*.

Na dwóch grzbietach górskich rozłożyło się miasto Betlehem, co znaczy „dom chleba“, od dawna uświęcone miejsce rodu Dawidowego. Dzisiaj liczy ono 7000 mieszkańców, odznaczających się pracowitością i cnotliwym życiem. Powiadają że te przymioty posiadają od krzyżowców, którzy tutaj osiedli i z Arabami się połączyli. W rzeczy samej mrówczą pilność zauważyłem tutaj we wszystkich warstwach. Jedni wyrzynają z perłowej masy koronki i krzyżyki, inni rzeźbią w oliwnem drzewie, inni ociosują kamienie, wszędzie gwar i turkot narzędzi.

Oczywista, kierowaliśmy najsamprzód nasze kroki do grotty Narodzenia Chrystusa Pana.

Wielki kościół Maryi stoi na tem tradycyjnem miejscu; niestety od dwóch wieków prawie zdołali Grecy wejść w posiadanie tego sanktuarjum, dziś w grocie samej jedynie straż turecka sparta o karabin, jest w stanie utrzymać ład i spokój.

Pod wspaniałą bazyliką mieści się grotka w niej ołtarz, pod którym umieszczona gwiazda ma napis: „*Hic de virgine Maria Jesus Christus natus est*“. Tu przesuwały się pojedynczo tłumy wszelkich narodowości i zginają swe kolana, by ucałować miejsce najwznioślejszej tajemnicy i najpotężniejszego cudu. Długo stałem i patrzyłem w tę gwiazdę i czułem te zorze dnia nowego, które stąd wyszły i czułem, jak moce złego truchlały przed dzieciną — a ta dziecina to zdobywca świata, to po za światem piekiel pogramca i czułem, że nie ma tak świetlanego miejsca na całym globie, jako ta gwiazda w tej grocie i czułem, że nie ma tak bogatego źródła na ziemi, jako to źródło wiecznego żywota, które dusz wszystkich napojem i czułem, że do skończenia świata będą się tu snuły nieprzerwanie różnorodne tłumy zginając kolana.

Kilka kroków naprzeciw tego miejsca żłobek to kołyska chrześcijaństwa, zwalczenie pogaństwa, zwycięstwo ubóstwa; tu padło bezwładnie hasło pogańskiej siły, tu nowego królestwa ducha początek, tu maluczkich wywyższenie, a naprzeciw ołtarz Trzech króli — jakich? Pewno nie potentatów świata, ale królów ducha. Wszak opodal jest grotka tych wyrzniętych niewiniątek, których krwią chciał potentat ziemski ratować swoje

berło i koronę; unicestwił duch Boży ziemskie rachuby i obok widzimy grotę, w której anioł zbudził św. Józefa i do ucieczki do Egiptu wezwał.

Co dnia popołudniu OO. Franciszkanie odbywają procesye w tych grotach, śpiewając hymny i modlitwy, poruszające biedną duszę ludzką i budząc w niej tęsknotę, która i tych świętych poruszać musiała, którzy tu w pobliżu tych miejsc żywot swój pędzili. I tak święty Hieronim tłumaczył tutaj z hebrajskiego i greckiego języka na łaciński pismo święte; tu powstała *vulgata*. Święta Paula i Eustachiusz również tu groby swoje mieli. Jeśli te miejsca święte były czasem widowiskami scen strasznych, to już to chyba może dać miarę zaciekłości ludzkiej. Nie dalej jak przed dwoma laty zamordował kawas rosyjski wystrzałem z rewolweru Franciszkanina, a dwóch ojców ranił w czasie rozpoczętej procesyi popołudniowej. Niestety zbrodniarz ten, mimo że był już w rękach konsula austriackiego zdołał uciec. W roku 1873, 25. kwietnia uzbroili szyszmatycy Grecy 300 ludzi, weszli przemocą do groty Narodzenia Chrystusa, niszcząc wszelkie kosztowności. Pięciu modlących się tam Franciszkanów stawiało opór, ale porażeni musieli uleść przemocy. Jedynie energicznej interwencji

francuskiego konsula udało się następnie przywrócić Franciszkanom ich prawa i naprawiono wszelkie uszkodzenia, mówią jednak, że ta gwiazda, która znaczy urodzenie Chrystusa, przez wyznawców Islamu sporządzoną została! I mów tu o przeistoczeniu natury ludzkiej przez jakiegokolwiek wierzenie i filozofie i dziw się, że świat chrześcijański cały stoi pod bronią, czyhając jeden na zgubę drugiego, kiedy na najświętszem miejscu Narodzenia Chrystusa nie panuje pokój, ale wre nienawiścią zwierzęca namiętność człowieka.

Drogą do Betlehem jedzie się do Hebronu, tego starożytnego grodu, w którego pobliżu tradycja stworzenie Adama wskazuje.

Zostawiwszy Betlehem po lewej ręce, przejeżdżaliśmy pomiędzy skalistemi wzgórzami, na których się trzody owiec pasą, wygodnym gościńcem aż do miejsca, w którym wielki czworobok, rodzaj twierdzy, postawionym został jeszcze w czternastym wieku dla ochrony przeciw Beduinom. Dziś we wnętrzu tej twierdzy pszczoły miód składają w wielkich glinianych cylindrach i młode owieczki skaczą niezgrabnie po rumowiskach.

Prawdziwie imponujące wrażenie robią trzy kolosalne baseny, pochodzące jeszcze z czasów

Salomona, położone w dolinie za tą twierdzą. Są one częścią w skale kute, częścią murowane i doprowadzały wodę do jerozolimskich akwaduktów; tu i owdzie widziałem odsłonięte rury gliniane, któremi woda z licznych źródeł przepływa do tych stawów Salomona. Każdy z tych basenów ma około tysiąc metrów kwadratowych powierzchni a każdy następny jest o kilka metrów niżej położony od poprzedniego. Dwoma drogami doprowadzały one wodę do Jerozolimy: jedna starsza górą przepływając ponad doliny Burak, zmierzała do doliny Hinnom, druga zupełnie jeszcze dobrze zachowana, szła dołem koło Betlehem i grobu Racheli, a spotykała się z górnym wodociągiem koło mostu doliny Hinnom, by wspólnie zmierzać ku świątyni.

Zdziwienie ogarniało mnie nieraz, kiedy się zastanowiłem nad tem, jak tutaj liczą sobie na tysiące lat, podczas gdy u nas na setki tylko pozwalamy sobie obliczać starożytności — i niemal z tym samym pietyzmem patrzymy w ojczyźnie na drzewo sadzone przez Jana Sobieskiego w Polsce, jak tu na drzewo sadzone przez Abrahama patryarchę w Palestynie — i wyrabia się dziwna miara w sądzeniu tych wiekowych pamiątek. Coś co pochodzi z czasów wojen krzyżowych nie zdaje się w tym kraju wielką

starożytnością, a na zabytki XVI. czy XVII. wieku patrzymy, jak na domy u nas przed kilkudziesięciu laty stawiane.

Łagodny klimat Palestyny wpływa niemało na zachowanie tych zabytków. Nie można go dzielić na cztery ale tylko na dwie pory roku: czas deszczu i posuchy. Od maja do października ni chmurki na niebie, a powietrze jest tak przejrzyste, że znosi oddalenia i sprawia złudzenie dla oka nieprzywykłego do tych efektów światła. Nocami zaś gwiazdy i księżyc świecą tak jasno, że znów dają dowód owej czystości powietrza.

Dopiero pod koniec października zapowiadają się deszcze burzami; padają najczęściej nocą i są bardzo ulewne, stąd też jesień i zima nie są odpowiednią porą do pielgrzymek i czasami opłakania godny jest los niejednej karawany, która chcąc święta Bożego Narodzenia w Betlehem przepędzić, zimową porą udaje się do Palestyny na pielgrzymkę. Tak np. przed dwoma laty została karawana złożona z 200 osób do nitki zmoczona a następnie, kiedy się nie mogła przeprowadzić przez rzekę Cison, gdyż woda jej wezbrała na sześć metrów głębokości, dopiero prowizorycznie rzuconym mostem, który Włosi pracujący około kolei budującej się z Kaify

do Damaszku, urządzili, przedostali się na drugą stronę rzeki za opłatą 400 franków. Ponieważ jednak po przejściu pątników Włosi natychmiast prowizoryczny most zerwali, zostały rzeczy i bagaże po drugiej stronie łupem Beduinów, albo jak lepiej poinformowani twierdzą, łupem ich własnych mukrów.

Najodpowiedniejszy jest zatem do podróży czas wiosny od połowy marca do maja, czas zielonych łąk i pól. Tu winienem dodać, że klimat doliny Jordanu różni się od klimatu całej Syryi i jest podobny klimatowi Egiptu, choć zdrowszy.

Oglądaliśmy stawy Salomona, a już w dwie godziny wchodzimy w dolinę urodzajną i żywną Abrahama, dziś *Wadi el Chalit* (przyjaciół boży) zwaną. Stąd miały pochodzić te winne grona, które jako dowód urodzajności kraju Mojżeszowi przynieśli. I teraz widzimy tam bardzo piękne winnice, a jak ojciec Lievin de Hamme zapewniał, mierzył sam grona mające siedm-dziesiąt centymetrów długości.

Wszedłszy do miasta Hebron ulokowaliśmy nasze konie w zajezdnym domu żydowskim, przypominającym mi żywo nasze wiejskie zajazdy; — gospodarz chciał nas koniecznie zatrzymać, byśmy w izbie śniadali, ale my

woleliśmy zawsze pod gołem niebem się posilać a tym razem ułożyliśmy spożycie śniadania pod dębem Abrahama. Zanim jednak wyszliśmy na miasto, najęliśmy sobie urzędowego przewodnika, rodzaj policyanta, niezbędnego w Hebronie, znanym z wielkiego fanatyzmu muzułmańskiego.

W mieście są dwa wielkie stawy, sięgające dawnych czasów. Nad jednym z nich kazał Dawid powiesić morderców Isboseta syna Saulowego. Domy są murowane z kamienia i podobnie jak w Jeruzalem kopułami zdobne, najgłówniejszym jednak i może jedynym zajmującym budynkiem jest wielki meczet Haram, który mieści w sobie jaskinię Machpela, zakupioną przez Abrahama po śmierci Sary. W tej grocie leżą popioły Abrahama, Izaaka, Jakóba, Sary, Rebeki i Lea; ponad niemi ustawiono 6 kenotaphe wedle podania muzułmanów dokładnie każde ponad miejscem grobu. Żaden europejczyk nie ma wstępu do tego meczetu; w roku 1881 książę Walii otrzymał na to osobne zezwolenie od sułtana. Sprzedają jednak fotografie zdejmowane wewnątrz. Widocznie za nadzwyczajnym bak-szyszem zdołał się fotograf dostać do tego przybytku wraz z aparatem.

Turcy, jak mówi ojciec Marcin Chwaliszewski, Poznańczyk, będący kanonikiem

w patryarchacie jerozolimskim, są nadzwyczajnymi konserwatystami, nie niszczą niczego, tylko zasypiają, — zamurują i tak późniejszym wiekom nieuszkodzone przechowują zabytki. To też z grobami patryarchów w Hebronie tak samo uczynili, bo w postawionych kenotafach, przykrytych zielonemi, złotem haftowanemi materjami, nie ma nic, tylko w podziemiach znajdują się patryarchów popioły. Mury tej świątyni są z kolosalnych kamieni stawiane, których brzegi są równie ociosane jak świątyni salomońskiej w Jerozolimie, wskazują zatem na tę samą epokę. Oprócz tego są te mury czworogrannemi słupami wsparte, których z jednego boku szesnaście naliczyłem. Po nad tym starym murem Herodowych czasów, postawili muzułmanie nowy, zdobiąc go na czterech rogach minaretami.

Przewodnik wyprowadził nas po nad mury meczetu schodami kutemi w skale, na północ od meczetu i stamtąd patrzyliśmy na dziedziniec i budynki, pośród murów stawiane. Dziś jeszcze fanatyzm muzułmański broni przystępu, lecz może za lat kilka będzie równie dozwolonem wejście do grobów patryarchów w Hebronie jak do meczetu Omara w Jerozolimie.

Stąd zrobiliśmy piękną wycieczkę, idąc pieszo pomiędzy winnicami i ogrodami do dębu

w Mambre, mającego przeszło dziesięć metrów obwodu. Tutaj grupa dzieciaków trudni się przemyśłem, sprzedając żołędzie tego drzewa, przynosząc kwiaty i wodę, jakoteż wypożyczając dywan, na którym się pielgrzym usadawia dla posiłku.

Uderzająco piękne są typy dzieciaków w Hebronie, śmiałe ciemne oczy, foremne noski i lica i lekkość swawolna w ruchach nadają im odrębny charakter.

Ogród, w którym się ten dąb Abrahama znajduje, jakoteż hospicjum na górze postawione należą do Rosyan, a z wieży na szczycie postawionej wspaniały widok roztacza się aż do morza.



VII.

[Wieczory Jerozolimskie. — Patryarcha katolicki. — Siostry Syońskie. — Łuk Ecce Homo. — Siostry Różańca. — Ojcowie Ziemi świętej. — Domikanie. — Afrykańscy misjonarze. — Miejsce Narodzenia Matki Boskiej. — Szyzmatycy. — Ewangelicy. — Żydzi i mury przez nich oplakiwane.]

Często spędzałem wieczory na terasie austriackiego hospicium, pojąc oczy widokiem Jerozolimy, która w ostatnich żarach gasnącego słońca zasypiała cicho w zielonawych półtonach.

Po lewej stronie modelowała się wspaniałą sylwetą kopuła meczetu Omara, w której fajansach i oknach grały jakby żarzące płomyczki, ostatnie słońca promienie. Leciuchny, oddalony, fioletowy brzeżek gór Moab i bliskie ciemne cyprysy podnosiły tę uroczą grę barw. Naprzeciw sylwetowały się dwie kopuły Grobu świętego

na wzgórzu Kalwaryi, a po prawej stronie szczybiły się zęby murów bramy Damasceńskiej. Amfiteatralnie piętrzyły się domy z białego kamienia z płaskimi kopułami, a w oknach poczęły się zapalać światła coraz liczniejsze. Cisza wieczoru przerywana czasami beczeniem trzody z pastwiska do miasta powracającej, rozpościerała się nad tym białym miastem i zwolna ciemność poczęła gubić kontury domów i kościołów, pozostawiając tylko ciemną sylwetę rysujących się na tle nieba kopuł i murów. Wtem na krzyżu kopuły kościoła Grobu świętego poczęły się zapalać światła i wśród tych ciemności zapłonął po nad miastem krzyż gorejący. A więc przecież i tutaj zatryumfował ten znak zbawienia! Mimo władzy tureckiej, mimo wyznawców Mahometa, doprowadziły przecież usiłowania zjednoczonych chrześcian do tego, że kult krzyża jest tu jawny.

Liczne kościoły, zakłady dobroczynne, szpitale, szkoły świadczą o żywym chrześcijaństwie. Patriarchat łaciński, który zgasł jeszcze w wieku trzynastym, został w r. 1847 przywrócony i ojciec Valerga na tę godność powołany. Dzisiejszy patriarcha jerozolimski ojciec Ludovico Piavi, jest Włochem z zakonu św. Franciszka i widziałem, jak się szczerze i serdecznie ucieszył, dowiedziawszy się w rozmowie ze mną, że

jestem Polakiem. W rzeczy samej, w całym świecie katolickim mamy dziś najwięcej współczucia i uznania. Krew na Podlasiu i Litwie przelana, prześladowania z bohaterską odwagą i wytrwałością znoszone, nie idą na marne, bo naszym ciemniejszym hańbę, a nam zaszczyt przynoszą i budzą podziw u szlachetnych i dobrych...

Opodal hospicjum austriackiego stoi klasztor siostr Syonu, założony przez ojca Ratisbonne. W kościele tym wznosi się za ołtarzem głównym łuk *Ecce homo*, który zdobił praetorium Piłata. Tak jak został odkopany, tak stoi w całej okazałości z kolosalnych starych kamieni i nadaje tej świątyni prosty i wspaniały wygląd. Na nim ustawiona statua Chrystusa z białego marmuru wielkie i podniosłe sprawia wrażenie.

Matka przełożona oprowadzając mnie po klasztorze pokazała mi na dziedzińcu kamienie dawnego praetorium, na których wyrzyta figura do gry w kości, służąca niegdyś żołnierzom rzymskim do zabawy.

W pokoju, w którym znajduje się wielki portret ojca Ratisbonne siedzącego pomiędzy dziećmi muzułmańskimi i żydowskimi, zobaczyłem także dwa sztychy z obrazów Munkaczego z własnym podpisem artysty: „Chrystus przed Piłatem“. Nie mógł odpowiedniejszego i piękniejszego

znaleść dla siebie miejsca i tutaj do mnie obraz ten najbardziej przemówił.

Siostry Syońskie wychowują dzieci chrześcian, żydów i mahometanów a nawet basza turecki córki swoje wychowaniu tych sióstr powierzył. Podobnie jak ojciec Ratisbonne zakon Sióstr Syońskich, stworzył ojciec Józef Tannous kongregację Sióstr Różańca, które urząd misyonarzy pomiędzy Arabami z wielką gorliwością spełniają.

Lichy domek patryarchatu służący im za mieszkanie i szkołę jest w tak opłakany stanie, że ubóstwem swoim budzi współczucie. Ściany wilgocią napojone szkodzą zdrowiu tych pełnych poświęcenia istot a tylko malutkie podwórko prześliczny przedstawia widok, bo krzak róży tak się w nim rozrósł, że zrobił sklepienie czarujące po nad tym ubożuchnem podwórkiem, gdzie młode dziewczątka arabskie wyrabiają różańce. Dostałem różę jedną z tego krzaka, który zdał mi się czemś tak cudownym w tym podwórku, żem z początku nie wierzył w jego prawdziwość.

Ojcowie Ziemi świętej zakonu św. Franciszka mają wielki klasztor i kościół św. Salvatora, szkołę, aptekę i drukarnię. Dominikanie, od niedawna osiedli w Jerozolimie, postawili

piękny klasztor za bramą Damasceńską w pobliżu grotty Jeremiasza, na miejscu dawnego kościoła św. Szczepana, zbudowanego przez Krzyżowców. Stare fundamenta starannie odkopali i wykryli absydę, nawy i mozaiki starożytne. Superior Dominikanów, ojciec Legranche, Francuz, który był dawniej adwokatem, człowiek nadzwyczajnego wykształcenia, dużo bardzo ciekawych opowiadał mi rzeczy z dziejów Palestyny w czasie kiedy malowałem z ich terasy widok na Jerozolimę i grotę Jeremiasza.

Afrykańscy misjonarze kardynała Lavigerie otrzymali od Patriarchy jerozolimskiego wspinały kościół świętej Anny, który jeszcze Justynian I. w szóstym wieku postawił. Saladyń założył tu później wielką szkołę dla uczonych tureckich i dopiero po skończeniu wojny krymskiej otrzymał Napoleon III. tę świątynię, która od tego czasu pod francuskim protektoratem zostaje. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa miejsce to wielką czcią było otaczane, gdyż tutaj w domu św. Joachima i św. Anny tradycja miejsce narodzenia Maryi Panny wskazywała. Ciekawe są rozmaite pobożne przypuszczenia dotyczące miejsca narodzenia Matki Boskiej. Jedni twierdzą, że w Sephoris, inni że w Betlehem, tradycja południa wskazuje Nazareth, tj. *casa santa*,

dziś w Loretto stojący domek, zaś tradycja wschodu Jeruzalem za miejsce narodzenia przyjmuje. Dwa pierwsze twierdzenia najmniej mają prawdopodobieństwa, najwięcej zaś świadectw od najdawniejszych wieków przemawia za Jerozolimą.

Najpotężniej rozwinął swoją działalność w Jerozolimie kościół grecki, na którego czele stoi patriarchy Nikodemos. Jeszcze do konsylium Trydenckiego, t. z. do połowy szesnastego wieku byli szyzmatycy jerozolimscy w połączeniu z Rzymem dziś, jak to już nieraz wspominałem w odnośnych miejscach, są najzjadlejszymi nieprzyjaciółmi kościoła rzymskiego, usiłując to podstępem, to przemocą wyprzeć łacinników z ich posiadania.

Obok Greków rozwija energicznie misya rosyjska swoją działalność, wznosząc wielkie budynki, hospicya i cerkwie.

Eutychieanie, do których należą nieuniccy Syryjczycy, Koptowie i Abisyńczycy, jakoteż niekatoliccy Ormianie, są również nieprzychylni kościołowi rzymskiemu. Starormianie mają swego patriarchy, który mieszka w klasztorze na Syonie, klasztor żeński, drukarnię i seminaryum i odróżniają się w stroju tem od popów greckich, że mają czarne stożkowate kapuzy na głowie.

Ewangelicy zakładają szpitale, domy missyjne i towarzystwa biblijne, ale nie mają jeszcze żadnego wpływu.

Największy zastęp, bo niemal trzy czwarte ludności stanowią żydzi. Widziałem wielką nędzę w ich dzielnicy, bo przeważnie są to wygnańcy z Rosji lub Rumunii, albo też tacy, którzy koniecznie kości swoje w dolinie Jozafata złożyć pragną. Żyją przeważnie z jałmużny europejskich współwyznawców, albo z darów takich potentatów finansowych jak Montefiore, Rothschild, Hirsch i *Alliance Israelite*.

Nie trzeba jednak sądzić, jakoby między nimi była wielka spójnia i łączność. Dzielą się na sekty jak n. p. Talmudyści i Karaici, którzy z równą zaciekłością walczą przeciw sobie jak Grecy z Łacinnikami. Starowiercy, którzy od wieków kilku tam są osiedleni, nazywają się Sephardim, mają swój szpital i synagogi. Aszkénarim zaś mają szkoły rękodzielnicze, wielki szpital Rothschilda, dom dla sierót, szkoły dla dziewcząt i stoją przeważnie pod protektoratem Austrii. Przeszło siedmdziesiąt synagog naliczyć można w Jerozolimie, ale największą ciekawością pozostanie zawsze dla przyjezdnych mur Salomońskiej świątyni, pod którym co piątku oplakują żydzi upadek dawnej chwały i świetności.

Widziałem poważne postacie starców siedzących na ziemi w otoczeniu młodszego pokolenia i recytujących psalmy; widziałem z boleści tłukących głowami o kamienie, które jak spokojne olbrzymy od kilku tysięcy lat leżą nieruchome i jeszcze innych kilka przetrzymają a które dawniej dźwigały najwspanialszą świątynię, chwałę Izraela. Nic więc dziwnego, że boleść rozdziera serca synów Abrahama wspominających dawną wielkość:

Dla świątyni zburzonej siedzimy samotni i płaczemy,

Dla murów zniszczonych siedzimy samotni i płaczemy,

Dla majestatu przeszłego siedzimy samotni i płaczemy, — itp.

wyliczają długą litanię nieszczęść i klęsk, a odpowiedź brzmi:

Pomni dnia zburzenia stoimy przy Jerozolimie, która matką naszą była, nas pielegnowała, żywiła i poila duchem bożym, który z niej był; ale bez matki rozproszone dzieci tylko ojca wiecznie żyjącego mamy. Pociesz ty Boże i Panie żałośników Syonu, żałośników Jerozolimy i żało-bne miasto, które zburzone, zbezczeszczone, zniszczone. Amen.

VIII.

[Pożegnanie Jerozolimy. — Ramallah. — Droga do Samaryi. — Studnia Jakóbowa. — Nablûs. — Prawda lokalna w dziełach sztuki. — Samarytanie. — Sebaste. — Ruiny kościoła św. Jana Chrzciciela. — Widok Samaryi i Galilei. — Sanur. — Zamiłowanie Beduinów do malarstwa. — Dżenin. — Wychowanek ojca Ratisbonne. — Dolina Esdrelonu. — Widok Nazaretu.]

Dnia 22. kwietnia wypadło mi żegnać Jerozolimę celem dalszej wędrówki do Galilei.

Rozstawaliśmy się bardzo serdecznie z rektorem austryackiego hospicyum ks. Jochem i dr. Maliczkiem, wicerektorem, którym na pamiątkę mojego całomiesięcznego pobytu w tem hospicyum pozostawiłem obraz „*Ecce homo*“ zamieszczony dzisiaj w kaplicy tego domu.

Na dobrze osiodłanych koniach pod przewództwem dragomana Józefa Aonat opuściliśmy bramą Damasceńską miasto około drugiej

godziny z nadzieją zobaczenia za dni cztery Nazaretu. Przebywszy dolinę Jozafata i groby królów, stanęliśmy za pół godziny na górze Scopus w miejscu, na którem wedle tradycyi arcykapłan Jaddus witał Aleksandra Wielkiego. Zatrzymaliśmy się tutaj, by raz ostatni jeszcze popatrzeć na oświetlone słońcem białe miasto. Tysiące myśli tłoczyło się do głowy, ale po nad wszystkimi górowała myśl jedna: czyli będę cię widział jeszcze kiedy. I jakby oddalone jakieś wspomnienia, odzywały się w duszy słowa psalmisty: „Zapomnę cię Jeruzalem, to niechaj zapomnianą będzie prawica moja.“

Trzeba się było jednak oderwać od tego widoku i odwrócić konia, by nowych szukać obrazów w tym kraju Pisma świętego. Toż zaraz na wzgórzu Telles-Soma dawnego Gabaath rozwarł się przed nami wspaniały widok, którego każdy kącik zapełnia tradycya wspomnieniami biblijnymi. Dawid zbierał zwłoki Saula, tam na wschód morze Martwe i miasto Anatoth, na południe Góra Oliwna z wystającą jak igła wieżycą, na północny zachód Nebi Samwil i Gabaon, gdzie Jozue słońce zatrzymał, gdzie Salomon ofiary Bogu palił.

Rzymskim gościńcem pomiędzy wzgórzami i różnych czasów ruinami prowadzi droga aż do

miasta Ramallah; gdzie już pod wieczór przybyliśmy na nocleg w łacińskiej parafii.

Wkrótce po nas przybył również konno wysłużony generał rosyjski, Polak, który z wielkiem nabożeństwem odprawiał całą pielgrzymkę w Ziemi świętej. Wysłużywszy lata swoje na Kaukazie i innych prowincjach głębokiej Rosyi, przedsiębrał tę podróż, znosząc wytrwale wszystkie niedogodności w towarzystwie służącego Polaka, odznaczającego się również wielką pobożnością.

Po wieczerzy zajęliśmy nasze łóżka, ale sen spłoszył nam z powiek generał, chrapiąc zapalczywie.

Mówią, że rodzice Chrystusa spędzili tu noc bezsenną, spostrzegłszy stratę Syna swego, po którego do Jerozolimy wracać musieli. Dziwnym zbiegiem okoliczności obchodziliśmy tę pamiatkę.

Raniutko po piątej wyruszyliśmy wspólnie w drogę ku Samaryi. Mineliśmy Bethel jeduo z najstarszych miast Palestyny i doszliśmy do miejsca snu drabiny Jakóbowej; tu poczęły się konie ślizgać po wielkich kamiennych płytach, pochodzących — jak św. Hieronim pisze — z kościoła ongi tu postawionego albo też ze świątyni złotego cielca wzniesionej przez Jeroboama. Po stromych drogach zasianych kamieniami, a wyglądających jakby wyschłe łożyska rzek,

dojechaliśmy, często złącząc z koni, do źródła zbójów Ain el-Haranuje, otoczonego jaskiniami, grobami w skałach i ruinami. Później minawszy pięknie uprawną dolinę, wyszliśmy na grzbiec gór, u których podnóża znajduje się kotlina Lubban. Tu mieliśmy spożyć nasze pierwsze śniadanie. Położyliśmy się więc obok Chan el Lubban na arabskiej abai, którą zawsze w torbach na koniu zarzuconych miałem, a Arabi zamieszkujący ten kąć sporządzili nam kawę czarną i użyczyli schronienia przed drobnym deszczem, który przez pół godziny padał. W zasmolonej izbie ich lepianki ledwie się pomieścić mogliśmy, a stary pewien Arab bez zębów począł dla rozweselenia śpiewać nam piosenki, których treść musiała być wesołą, bo naszych mukrów nadzwyczajnie rozweselała. Konie nasze puszczono na paszę, która wedle zwyczaju krajowego, wszędzie jest dozwoloną nawet w zbożu, to też wyżywieniem koni nie bardzo się dragoman kłopotuje.

Deszcz się rychło skończył i wyruszyliśmy w dalszą drogę na grzbiety gór Samaryi, z których wspaniały widok rozpościerał się aż do ośnieżonego wielkiego Hermonu i góry Garizim. Już pod zachód słońca prawie dojechaliśmy to dolinami, to górami, do stolicy Samaryi, dawniej Sichem, dziś Nablûs zwanej.

Jakie pół godziny przed miastem wśród pola Jakóbowego odszukaliśmy studnię Jakóbową, przy której Chrystus z Samarytanką rozmawiał. Wkrótce wzniesie się po nad tą studnią kościół szyzmatycki, bo Grecy zakupili to miejsce i wedle planu dawnego kościoła, który odkopali, wzniosą nowy. Do tej studni mającej 21 metrów głębokości wpuszczał mnich świecę na sznurze.

Szkicowałem okolicę, otaczającą to miejsce, by kiedyś zużytkować to tło rzeczywiste w obrazie, jeśli mi wypadnie Chrystusa z Samarytanką malować. Do dziś dnia nikt jeszcze nie zużytkował prawdziwego tła krajobrazów palestyńskich; jedni malowali widoki włoskie, inni niemieckie, ale mam nadzieję, że przyjdzie czas, w którym ludzie zapragną mieć prawdę lokalną w obrazach biblijnych i jeśli prawdziwym jest zdanie „*wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*“, to najzupełniej trzeba je w pierwszym rzędzie zastosować do pisma świętego. Najbogatsza fantazyja nie zastąpi tego, co jest prawdą, zaś prawda jest zawsze w stanie wzbogacić fantazyje każdego.

W bardzo żyznej dolinie pomiędzy górami Hebal i Garizim położone jest miasto Naplus, otoczone murami i zamieszkałe przeważnie przez Muzułmanów, odznaczających się niemiłym dla

obcych fanatyzmem. Rozgościwszy się w łacińskiej parafii po zwiedzeniu ładnej i nowej kaplicy, poszliśmy obaczyć najciekawszą osobliwość tego grodu: Samarytan i Pentateuch, pochodzący jeszcze od Abisua, prawnuka Aarona, z r. 1400 przed Chrystusem, zawierający pięć ksiąg Mojżesza.

Przeróżnemi uliczkami błotnemi doszliśmy wreszcie pod wodzą *ad hoc* zgodzonego przewodnika do synagogi Samarytan. Dwaj kapłani wynieśli nam ten pentateuch i postawili w drzwiach kościoła, jest to pergamin, mający kilka metrów długości, zwinięty na dwu srebrnych drążkach i zapisany pismem samarytańskim.

Był to charakterystyczny obraz: ci dwaj Samarytanie, rośli i silnie zbudowani, z tym rylonem w rękach w drzwiach synagogi. Następnie podali nam kartkę drukowaną w angielskim języku, gdzie swoje dotkliwe położenie materialne przedstawiają i do ofiarności Europejczyków apelują, celem utrzymania szkoły, której brak środków dostatecznych. Wkońcu po otrzymaniu kilku franków ofiarował nam starszy kapłan swoją fotografię, za którą franka zażądał. Pokazuje się zatem, że Samarytanie mimo trzech-tysiącletniego pentateuchu, posiadają zmysł zupełnie modny.

Zasięgnąłem bliższych wiadomości o tym szczepie, dziś już bardzo nielicznym i dowiedziałem się, że są ścisłymi monoteistami, wierzą w dobrych i złych duchów, w zmartwychwstanie i sąd ostateczny i oczekują przyścia Messyasza.

Wróciwszy do dalszej parafii, zostaliśmy serdecznie powitani przez młodego księdza Maronitę, który był w całym tego słowa znaczeniu pięknym typem mieszkańca z gór Libanu, o klasycznych rysach. Dowiedziawszy się z listu generała Franciszkanów, że jestem malarzem, ucieszył się bardzo i prosił mnie o wskazówki pokazując swoje pierwsze próby w tej sztuce. Niestety poczciwy księżunio nie wiedział jeszcze jakie farby mieć należy na palecie, wypisałem mu więc potrzebną litanję i mimo całodziennej podróży konnej, do późna w nocy dawałem mu jeszcze rozliczne wskazówki.

Oprócz tego robi ten ksiądz Maronita fotografie miejscowych typów i okolicy, które mi przysłać obiecał. W taki sposób ten wychowanek OO. Jezuitów w Bejrucie osładza sobie pobyt wśród fanatycznych Muzułmanów — sztuką.

Ranitko dosiedliśmy koni, żegnani przez miłego wychowańca OO. Jezuitów z Bejrutu

i ruszyliśmy wygodnym gościńcem wzdłuż górskiego potoku i pięknych ogrodów oliwnych ku Samaryi. Po dwu godzinach weszliśmy na sto metrów wysokie wzgórze, na którym dawne miasto Samarya jaśniało wspaniałością, o jakiej dzisiejsze Sebaste żadnego nie może dać wyobrażenia, bo prócz kilku nędznych lepianek muzułmańskich, tylko ruiny wysterczające mówią o minionej bezpowrotnie przeszłości.

W ruinach dawnego kościoła św. Jana Chrzciciela widziałem turecką szkołę i meczet. M. de Vogüe, architekt francuski, który badał plan i rozmiary tego kościoła, uważa go za najwspanialszy kościół, jaki Krzyżowcy w Palestynie postawili. Podobny jest do kościoła św. Anny w Jerozolimie. Dziś pozostała fasada romańska, ściany do pewnej wysokości i filary czworogranne ze słupami, dzielące kościół na trzy nawy; kapitele, zdobne palmowem liściem, należą równie jak okna półokrągłe do epoki romańskiej. W środku dziedzińca dzisiejszego, a dawniej kościoła, znajduje się w krypcie grób św. Jana — ale równie ta celka, jak i dwie inne proroka Abdiasa i Elizeusza, są próżne. Oprócz tego pokazywano mi w krypcie starożytną mozaikę i kamień, którym grób był zamykany. Przewodnik, który nas oprowadzał po krypcie,

był nauczycielem tej szkoły, która w lewej nawie kościoła hałasowała.

Z dawnych pałaców królów Izraela i ze świątyni, którą Herod na cześć Augusta na sztucznej postawił terasie, nie pozostało nic, prócz kilkunastu kolumn bez kapiteli, które dzisiaj pług rolnika omija.

Kiedy po dwugodzinnej jeździe stanęliśmy na grzbiecie gór, z których czarująca panorama na Samaryę z jednej strony, a już na Galileę z drugiej się roztwierała, zeskoczyłem z konia i mimo opozycji dragomana, tu śniadać postanowiłem. Dragoman mruczał i drapał się po głowie, ale wreszcie posłał z dzbanem po wodę jednego mukra, który już w dziesięć minut był z powrotem. Wszyscy przewodnicy mają ten zwyczaj, że przy źródle obierają miejsce na śniadanie, ponieważ zaś te źródła zawsze u stóp gór wytryskują, więc krajobraz nie przedstawia ani dalekich widnokręgów, ani nadzwyczajnego nie ma uroku. Otóż ze mną miał dragoman zawsze ten kłopot, że ja nie tam obozowałem, gdzie to jemu było dogodnem, ale gdzie chciałem czas dłuższy nasycić się jakimś widokiem, lub mapę moją wzbogacić jednym szkicem więcej.

W czasie takiej podróży do największych rozkoszy zaliczyć wypada chwile wypoczynku

wobec czarującego widoku, a tu mieliśmy horyzont otwarty aż do morza Śródziemnego, a na wzgórzach i dolinach porozsypywane miasteczka Samaryi.

Jakby wśród niezliczonych fal morza, tak wśród wzgórz i szczytów staliśmy, patrząc na zmieniające się co chwila oświetlenia: chmury przesuwały się, rzucając cienie tam, gdzie przed chwilą grały słońca blaski, a oko chwyciło te wszystkie zmiany, nie mogąc się natrzeć do syta.

Zeszedłszy później z tego szczytu góry do źródła Ain Djeba, gdzie nasze konie napić miano, znaleźliśmy w malowniczym otoczeniu bardzo ciekawy obraz rodzajowy. Dziewczęta i kobiety prały bieliznę. Płaskim kamieniem biły bieliznę, położoną na innym kamieniu, póki woda z niej uchodząca nie była czystą, następnie owiwały tę bieliznę około dzbanów, które co najmniej dziesięć litrów wody mieściły i przy pomocy towarzyszki ustawiawszy to wszystko na głowie, puszczały się w drogę do domu. Odchodziły, każda ukośnie na kancie postawiony dzban bez użycia rąk na głowie niosąc, jedna za drugą, gęsiego.

Tego samego popołudnia dojechaliśmy do miejsca rodzinnego Judyty, Betulia, dzisiaj Sanur

zwanego, położonego przepysznie na skalistym szczycie wśród pięknej doliny wyrastającym. W czasie, kiedy malowałem ten widok, otoczyła mnie liczna gromada pasterzy i mieszkańców tej doliny i przyglądała się z żywym zajęciem mojej pracy; czy Arabi, czy Turcy, czy Beduini, doznają widocznego zadowolenia na widok, jak z pod ołówka lub pędzla wychodzą kształty osoby lub okolicy, na którą oni równocześnie patrzą. To też malarz, nie władający ich językiem, łatwo się z nimi zaprzyjaźnia, mówiąc tą, dla wszystkich zrozumiałą mową, która kształty linią wyraża, a barwy plamą.

Dopiero pod wieczór zbliżaliśmy się do zdobnego palmami miasteczka Dżenin. Tu nie ma parafii łacińskiej, nie ma ojców Ziemi świętej; zobaczymy, jak nam przenocować wypadnie. Miejsce, które dawniej służyło za hotel, zastaliśmy zdemolowane; szczęściem, zbliżył się do nas kilkunastoletni chłopczyna, mówiący po francusku i ten nas zaprowadził do domu chrześcianina, który miał kilka pokoi gościennych. Chłopczyna ten był wychowankiem szkoły ojca Ratisbonne w Jerozolimie. I w istocie dopiero podróżując po kraju, doznaje się błogich skutków tych mnogich instytucji katolickich; wszędzie, czy to w Esdrelonu, czy wśród gór Libanu,

czy w jakimś zapadłym miasteczku muzułmańskim, wszędzie zbliża się do ciebie człowiek w stroju krajowców, z pogodnym wyrazem twarzy, uczynny, grzeczny i posłuży ci za przewodnika, bo to wychowanek misjonarzy, którego cieszysz swój widok.

Zdarzyło się więc nam bardzo dobrze w Dżenin; małżeństwo gospodarzy poczęło się krzątać koło wieczerzy, a ja dla zabicia czasu rysowałem węglem na ścianie naszego dragomana, poczem usiedliśmy na podwórzu za stołem, na którym samowar i jego rosyjska herbata nie poślednią odgrywały rolę. W schludnych, i jak wszędzie na wschodzie zasłonami obarczonych łózkach przespawszy się do rana, zapłaciliśmy za nocleg po 3 franki od osoby i wyruszyliśmy wielkimi aleami kaktusowemi z miasta.

Wkrótce rozwarła się przed nami najpiękniejsza w Palestynie dolina Esdrelonu, ów skarb i spichlerz Syrii po dziś dzień. Ciągnie się przez 5 mil; od północnego zachodu dochodzi do morza, od północy otaczają ją góry Tabor i mały Hermon, od południa góry Gelboe i Djeniu, kilka rzek ją użyźnia, a między niemi Cison. Tu w tej dolinie rozgrywały się najdonioślejsze w dziejach Izraela sceny, tu przechodziły wojska Gedeona, tu Dawid z Jezrahela.

zonę pojął, tu Achaba występna małżonkę Jezabel kazał Jehu z okna pałacu wyrzucić, koniom strataować, a psy żarły jej ciało, jak prorok Eliasz przepowiedział. Tu przy źródle Ain Maitech (źródło Jezrahelu) Saul obozował w wojnie z Filistynami. Tu w Sunam (Sulem) prorok Elizeusz syna wdowy wskrzesił.

Tędy przechodził zawsze Chrystus, idąc, czy to do Jerozolimy, czy do Samaryi, tu wskazywał Apostołom na lilie rosnące. Pełno też w niej wspaniałych kwiatów — powoje, maki, malwy i inne u nas w ogrodach tylko chodowane kwiaty, rosną tu dziko wśród pól obfitemi kłosami się kołyszących.

Wrażenie zielonego jeziora sprawia ta równiutka dolina oddalonymi falami gór otoczona, gdzieś czernią się namioty Beduinów, którym ona służy dziś jak i dawniej, z pokolenia na pokolenie, za koczowisko. Czarująca była jazda tą doliną, wypoczynkiem dla jeźdźca i konia po kilku dniach skalistych dróg, wspinających się i spadających wzgórz; około południa poczęliśmy wjeżdżać, z pieśnią Ave Maria na ustach, drogą serpentynową na wzgórze, wśród których Nazareth położony.

IX.

[Casa nuova OO. Ziemi świętej w Nazarecie. — «Zdrowaś Marya». — Pracownia św. Józefa. — Władze tureckie a zapobiegliwość Franciszkanów. — Kościół Gabryela. — Góra strącenia. — Mensa Christi. — Brat miłosierdzia a miłość samarytańska.]

Srzeba przebyć niewygody kilkudniowej podróży konnej, by móżdż ocenić radość, jaką sprawia tak czysty i miły pokój, jaki nam przezacny brat Jan Józef przeznaczył w *casa nuova* na mieszkanie. Obmyłem się i przebrałem zupełnie od stóp do głowy i czułem się jak nowo narodzony w tym przebraniu lekkim, bez sztylp na nogach, bez siodła i szpicruty. Pokój miałem biały — podwórko również białutkie bluszczami obrosłe, wszelkie znużenie pierzchno w tem przebraniu i otoczeniu, to też jak najprędzej chciałem już oglądać Nazareth.

Pierwsze kroki skierowaliśmy do sanktuarium pozdrowienia Najświętszej Panny. Pod wielkim ołtarzem, do którego po dwu stronach marmurowe prowadzą schody, znajduje się krypta, w której był domek Maryi, dziś w Loretto stojący. Obecnie pozostała tylko grotta, w której; Anioł Gabryel pierwsze „Zdrowaś Marya“ wymówił, a które echem milionowych ust po całym globie rozbrzmiało. Dwie granitowe kolumny, z których jedna zwisa z sufitu, jak sopel lodu, bez podstawy, wskazują miejsce, w którym się anioł ukazał. Po prawej stronie ołtarz św. Joachima i Anny, po lewej anioła Gabryela, a w środku napis w marmurze „*Verbum caro hic factum est*“. Tu słowo stało się ciałem. Za tem sanktuarium mieści się ołtarz św. Józefa, na którym słowa *hic illis subditus erat*, tu był im poddany; jeszcze dalej grotta, która miała być kuchnią Matki Boskiej.

O 4. godzinie braliśmy udział w procesyi, którą tu codziennie tak jak w Jerozolimie i Betelehem przy śpiewaniu hymnów i modlitwach OO. Franciszkanie odprawiają. Później prowadził nas brat Jan, Holenderczyk, do pracowni św. Józefa, która podobnie jak wszystkie inne dzisiaj wedle zwyczaju krajowego zawsze odosobnione są od mieszkań.

Obok tej pracowni odkryli niedawno Franciszkanie wielki kościół. Najpierw natrafili na absydę, potem zaczęli wykupywać sąsiednie domy muzułmańskie i burząc odkryli ściany i fundamenta wielkiego kościoła, zapewne jeszcze w IV. wieku stawianego. Również odkryli wewnątrz głęboką cysternę o której jeszcze opat Daniel w opisie z XII. wieku wspomina. To wszystko otoczyli Franciszkanie murem, bo tylko skrycie przed władzą turecką mogą robić te poszukiwania i pewnego pięknego dnia połączą tę pracownię św. Józefa z klasztorem i kościołem Pozdrowienia.

Władza turecka każe sobie kolosalne płacić bakszysze za wszelkie pozwolenia budowy i latami przewleka takie sprawy, ale w Nazarecie są ojcowie Franciszkanie jeszcze panami sytuacji, dlatego panuje tu spokój i pogoda godna tych miejsc świętych.

Ludność jest bardzo pracowita, przez dzień cały słyhać łoskot i gwar rozmaitych narzędzi, tradycje i zwyczaje od wieków przechowuje z największą ścisłością niezmienione i nie dopuszcza żadnego żyda do swego miasta. „Możesz co dobrego pochodzić z Nazaretu?“ było jeszcze przed czasami Chrystusa często używanem przysłowiem u żydów, tem więc

dotknięci mieszkańcy nie pozwalają dzisiaj żydowi przystępu do tego grodu.

Podczas gdy niemal wszystkie miasta Palestyny miały mury i były obwarowane, to Nazareth, miasto kwiatów, zawsze stało otworem, a choć nigdy testament stary nie wymienia jego nazwy, choć nigdy żadnego króla nie było siedzibą, choć tu żaden prorok proroctw swoich nie głosił, żaden dziejopis historii jego nie pisał, to przecież stało się ono — dalekie od gwaru świata, w spokojnej i cichej dolinie górami zamkniętej — miejscem najwznioślejszego kwiatu Maryi, róży duchownej „*rosa mystica*“, a miejscem, gdzie król królów, proroków i patriarchów żył i działał i posiada większe znaczenie od wszystkich miast, które czy to Herodot, czy Livius, czy Tacyt wspomina.

Kiedy pod wieczór staliśmy na podwórku naszego hospicium odezwał się dzwonek na „*Ave Maria*“. Wówczas rzekł do nas brat Jan: „Tutaj to prawdziwy *Angelus* z pierwszej ręki“. I w istocie czułem aktualność każdego słowa „Zdrowaś Marya“, a zarazem szczęście, że mi było dozwolouem być na miejscu, gdzie się zrodziło to słowo, które przez wieki tyle serc krzepiło.

Jedyne wielkie źródło posiada Nazareth, studnią Maryi zwane. Tu Madonna chodziła

wodę czerpać, tu po dziś dzień wszystkie kobiety chodzą z wielkimi dzbanami na głowach po wodę. Podziwiałem wprawę, z jaką noszą te dzbany oparte jednym kantem tylko o podściółkę na głowie położoną i wytłumaczyłem sobie tę rzecz dopiero widząc, jak małe dziewczątka małe dzbany i potem większe, coraz większe dzbany dźwigają.

Mężczyźni nigdy po wodę nie chodzą, uważając za ubliżające im to zajęcie. Jedyńy wyjątek stanowi tylko sługa starego kawalera, któremu nie wolno mieć służebnicy niewiasty i takiego sługę pokazał nam brat Jan. Zarazem wytłumaczyło się nam to miejsce pisma świętego, gdzie Chrystus powiedział uczniom swoim: „zobaczycie człowieka po wodę idącego“, bo najwyżej jeden lub dwu takich jest w mieście. Określenie to było zatem zupełnie dokładne.

Nie daleko tego źródła Maryi stoi stary kościół św. Gabryela, do nieunickich Greków należący i tu wedle podania, miał się nasamprzód anioł Gabryel Madonnie w czasie czerpania wody ukazać, a potem kiedy do domu wróciła, po raz wtóry pozdrowił Ją wysłaniec niebieski i wówczas poddała się woli Bożej.

W tym kościele ozdobionym bardzo starymi rzeźbami w drzewie jest pośrodku studnia, z której bardzo dobrą wodę piłem.

Na miejscu dawnej synagogi, z której Chrystus wypchnięty został w czasie tłumaczenia prorocत्व Izajasza, stoi dzisiaj cerkiew Unitów. Dawniej nie było w Nazarecie wcale katolickich Greków, dopiero od czasu jak Franciszkanie stu kilkudziesięciu Szymatyków nawrócili, oddali im tę synagogę na własność jako parafię. I tu zatem, gdzie Chrystus przez wzburzonych Nazarejczyków wypchnięty został, mieszka obecnie dniem i nocą adorowany w *tabernaculum*.

Za miastem leży góra zwana „*mons praecipitii*“ górą strącenia. Tu wedle ewangelisty Łukasza wywiedli Chrystusa z Synagogi, by go strącić w przepaść skalistą ale on przeszedłszy przez pośrodek ich uszedł.

Wyjście na tę górę jest bardzo trudne, ale z jej szczytu śliczny widok się roztwiera na dolinę Esdrolonu. Naprzeciw po drugiej stronie przepaści jest góra Strachu. Tu z przerażenia omdlała Matka Chrystusa, kiedy się dowiedziała, że tłum wzburzony wyprowadził syna Jej na szczyt góry, by go w przepaść strącić. Dziś stoi na tem miejscu kaplica sióstr Klarysek z Francyi i cała góra jest bardzo pięknie utrzymanym ogrodem.

W Nazarecie jest jeszcze jedna bardzo ciekawa rzecz zachowana, a to kamień płaski, mający trzy metry długości i dwa szerokości, na

którym Chrystus Pan już po zmartwychwstaniu z uczniami swoimi wieczerzę spożywał. Kamień ten *Mensa Christi* zwany, jest kaplicą osłanianą, którą Franciszkanie wzniesli, kiedy z rąk mużłmanów miejsce to wykupili.

Nazareth jest siedzibą Braci miłosierdzia, którzy leczą chorych wszystkich wyznań bezpłatnie. Poznałem później w Tyberyadzie tego brata, który w Nazarecie ordynuje w założonym przez brata Otmara szpitalu. Również siostry Józefitki gorliwie chorych pielęgnują, których liczba dochodzi rocznie do kilku tysięcy.

Brat X. rodem z Morawy, ukończony doktor medycyny, wielkim się cieszy wśród Arabów uznaniem, szczególnie od tej pory, kiedy w czasie operacji, potrzebując kawałka skóry ludzkiej, wyciął sobie z uda własnego ten kawałek i wysył Arabowi. Ten prawdziwie z chrześcijańskim zaparciem się siebie wykonany czyn, zjednał mu tak ogólny szacunek wśród Arabów, że nietylko w sprawach medycznych go zawzywają, ale musi kojarzyć małżeństwa, rozstrzygać spory, uśmierzać nienawiści i prawdziwie apostołską misję spełniać wołany i zawzywany od rana do wieczora na wszystkie strony.

Tak czyn prawdziwie chrześcijański, tak samarytańska miłość i cnota mają zawsze tę siłę,

jakiej słowo samo lub forma najwznioslejsza nigdy nie osiągną, mają w sobie życie, w którym żyje duch Chrystusowy ofiary i miłości, a zwycięstwo dziejowe ostatecznie musi być wciele- niem tego ducha nie tylko w życiu pojedyn- czych jednostek, ale w życiu narodów. Wówczas nie na wojny krzyżowe ale na święto pokoju pój- dą one do tego Nazarethu, nie z orężem ale z lilią w ręku, nie z surmą bojową, ale z pie- śnią *Ave Maria*, i chwalić będą „błogosławiony owoc żywota Twego“.

X.

[Góra Tabor. — Obraz Rafaela. — Cuda Galilei. — Tyberyada. — Ojciec Norbert. — Rybak z jeziora Genezaretu głową Kościoła.]

Dnia 26. kwietnia wyjechaliśmy konno z Nazaretu na kilkudniową wycieczkę z zamiarem widzenia góry Tabor, jeziora Genezaret, Tyberyady, Kafarnaum i Kanny galilejskiej.

Od źródła Maryi w Nazarecie skierowaliśmy się na prawo ku górze, z której piękny widok na miasto i okolicę się rozkwiera, a równocześnie już góra Tabor oczom widza się przedstawia, podobna do półkuli. U jej stóp leży wieś Daburich (dawne Dabereth), gdzie apostołowie w czasie przemienienia Pańskiego nie mogli uzdrowić opętanego przez złego ducha chłopca. Na tym miejscu przypomina się żywo obraz Rafaela „Przemienienie Pańskie“; przez cały czas pobytu mego na górze Tabor nie opuszczało mnie

widzenie tego obrazu, w którym tak mistrzowsko scharakteryzował Rafael niemoc apostołów, szal młodzieńca i boskość Chrystusa.

Zygzakiem wspinaliśmy się po kamienistych ścieżkach, obrosłych krępą dębina, o tak mało-wnieczych kształtach, że co chwila chciałem zsiadać z konia by rysować, co chwila wyrwały mi się okrzyki zachwytu z piersi i przypominały słowa Dawida z psalmu 89: „Tabor i Hermon wykrzykną na chwałę Imienia Twego“.

Na górze zauważyliśmy starodawne ruiny jeszcze rzymskich czasów sięgające i przebyliśmy bramę z krzyżem, która do hospicium OO. Ziemi świętej prowadzi. Tu zostaliśmy powitani przez zacnego zakonnika Francuza, który nas następnie objaśniał, oprowadzał i w czasie wieczery obsługiwał. Był on żołnierzem francuskim i jeńcem niemieckim w r. 1870—71.

Oprócz niedawno postawionego hospicium, tylko mała kapliczka służy na uczczenie tego miejsca, w którym Chrystus uczniom swoim w blasku boskim się ukazał. Czyż nie powinien stanąć tutaj wspaniały kościół na fundamentach kościoła, który jeszcze w XII. wieku krzyżowcy wzniesli? Ruiny tego kościoła są tak widoczne, że dałby się zupełnie zrekonstruować. Wedle słów św. Piotra był on stawiany: „Chcemy trzy

domy postawić, jeden Tobie, jeden Mojżeszowi i Eliaszowi jeden“. Trzy nawy i trzy kaplice zawierał, a dzisiaj jest tylko kupą gruzów. Mówiono mi, że Amerykanie, którzy dzisiaj są nowem źródłem, zasilającym OO. Ziemi świętej, mają zamiar odbudowania tego kościoła. Wypisałem pragnienie moje w księdze pamiątkowej na górze Tabor i zaznaczyłem, że w głównym ołtarzu powinien obraz Transfiguracji Rafaela być umieszczonym w dobrej kopii, by w boskiem natchnieniu stworzone dzieło świadczyło o boskości Chrystusa, tym uczniom objawionej, którzy wkrótce mieli być świadkami poniżenia Jego w ogrodzie Getsemani.

Byłem i w greckiej cerkwi, której początek sięga czwartego wieku, bo mi brat Francuz opowiadał, że ma tam być znakomity jakiś obraz Transfiguracji. Niestety obrazek ten jest bez artystycznej wartości, choć przyznać trzeba, że jeśli nie Grecy, to Rosyanie starają się obecnie wszędzie w cerkwiach swoich pomieszczać dzieła sztuki, celem wywarcia pewnej atrakcyi na sfery inteligencji. Niestety, w naszych sanktuaryach ta strona artystyczna w zupełnem jest zaniedbaniu; jeżeli w istocie dawniejsze dzieła sztuki uległy zniszczeniu barbarzyńców muzułmańskich, to dziś należałoby o tem pomyśleć, by

*

w niejednym sanktuarium stanął obraz godny do-
stojności miejsca. Co za wspaniałe zadanie dla
artysty malować sceny z Pisma świętego, z prze-
znaczeniem ich do tych miejsc, gdzie się one
działy, gdzie tysiącom pielgrzymów stawiałoby
się żywo tę chwilę przed oczy, która tu była
aktualną.

Tu i owdzie na górze Tabor znajdowałem
otwory, któremi patrzałem z góry jakby do groty
jakiej; bardzo możliwe, że były to cysterny na
wodę służące, bo jak ruski opat Daniel w roku
1114 pisze, „znać tu rękę Bożą, która na tak
wielkiej wysokości wodę daje“.

Z ruin dawnego kościoła rozpościera się widok
na całą Galileę: na północ dolina Hattin, góra
Błogosławieństw, Safet i północna część jeziora
Genezaret, po nad czem w dali ośnieżony wielki
Hermon dominuje, na wschód Endor i góry
Moab, na południe mały Hermon, dolina Esdre-
louu, Naim i rzeka Cison na zachód góry Kar-
melu i morze mnogimi wzgórzami zakryte. Dla
czytelnika nazwy te są tylko wyrazami, dla widza
czarującymi obrazami, z cudowną grą barw
i kształtów, z pełną uroku zmianą światła i cie-
niów, owianych podniosłym wspomnieniem, że
tędy przez tyle lat nasz Boski Zbawiciel chodził,
że Jego oczy na te same patrzyły widoki.

Na drugi dzień zrana, po mszy, o piątej godzinie wyruszyliśmy do Tyberyady. Słoneczka pierwsze promyki rozpraszały mgły poranne, srebrząc jeszcze rosą pokryte listki, skowronki wzbijały się w górę i zdało mi się, że w naturze słyszałem pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“.

Od czasu do czasu przeszedł koło nas łańcuch wielbłądów z Beduinami, to się wynurzył jakiś na pół w ruinę zamieniony khan, zbudowany jako przystanek dla karawan, to się przemknęła trzoda długousznych owiec, to gdzieś w dolinie koczowały rodziny Beduinów pod czarnymi namiotami. I tak się przesuwaly te obrazy uroczej Galilei, aż z grzbietu gór ujrzelismy w dole blaskiem słońca bijące jezioro, otoczone do koła górami i położone nad niem miasto Tyberyus. Miasto nazwane i zbudowane na cześć cesarza Tyberyusza przez Heroda Antipas, zostało po zburzeniu Jerozolimy żydami osiedlone i do dziś dnia oni przeważną część ludności stanowią. Flavius Josephus, jako namiestnik Galilei, obwarował to miasto; a choć już dzisiaj z miasta Herodesa i jego pałaców nic nie pozostało, przecież przechowała tradycya dziejów Izraela, imiona najświetniejszych Rabinów jak Rabbi Ben Akiba, Juda Hakkadosch, Jochanau, Bar Anina, który św. Hieronima hebrajskiego języka nauczył.

W drugim wieku powstała tu Mischna (tradycyjne prawo żydowskie), w czwartym Talmud. Tu odkrył niejaki Josephus Ewangelię św. Jana i dzieje apostołskie, przełożone z greckiego na hebrajskie i oryginał hebrajski Ewangelii św. Mateusza.

Dzisiejsze miasto pochodzi z czasów Krzyżowców. Pięćdziesiąt palm sylwetuje się na tle jeziora i nadaje miastu otoczonemu bazaltowymi murami pogodny wygląd.

Wjechaliśmy przez jedyną bramę, jaką to miasto posiada i w klasztorze OO. Franciszkanów zająłem mój pokój. Zabawiłem dłużej w tem mieście, aniżeli zamierzałem, bo gościnność dzielnego rektora, ojca Norberta zniewoliła mnie do tego. Ojciec Norbert, rodem z Kolonii został jeszcze w czasie *Kulturkampf* przez Bismarka wydalony i od tego niemal czasu przebywa w ziemi świętej. Energiczną dłońią rządzi na tem miejscu, gdzie Chrystus polecił paść owieczki swoje.

Kościół Franciszkanów stoi tu, gdzie się Chrystus uczniom ukazał po Zmartwychwstaniu i kazał Piotrowi rzucić się do wody. Kiedy Piotr poznał Pana, opasał się, bo był nagi i rzucił się do morza; wtedy Chrystus Pan rzekł mu po trzykrotnem zapytaniu: „Szymonie, synu Jana kochasz mnie? — paś owieczki moje!”

Kiedy raz nocą, w czasie niespokojnego jeziora, wracałem z Kafarneum do klasztoru, wówczas krążyły mi po głowie te wszystkie Ewangelie, odnoszące się do dziejów na tym jeziorze przebytych, wówczas pojąłem cały urok miejsca, w którym się znajdowałem, całą prostotę tych rybaków, ale zarazem ich kolosalną energię, którą świat przemienili. Wówczas pojąłem, czem był ten nagi rybak nocą ryby łowiący: idzie w świat przez morza i lądy ten nagi rybak z jeziora Genezaret, nie trwoży go potęga Cezarów, śmiało przeciwdziała wielkim filozofom pogańskim, wypełnia słowa Chrystusowe: „Rozciągniesz ręce Twoje a inny cię opasze“ i ponosi śmierć dla słowa wcielonego — głowa Kościoła!



XI.

[Jezioro Genezaret. — Kafarnaum. — Misyonarz Arabów Abouna Dahoud. — Talega. — Koń arabski. — Mistyczna gra barw gór Moab. — Góra cudownego pomnożenia chleba i góra Błogosławieństw. — Kana Galilejska.]

Nie ma miejsca bardziej uroczego w Ziemi świętej, jak jezioro Genezaret, nie ma miejsca, do którego więcej Ewangelij byłoby przywiązanych; tu niemal trzy lata nauczania swego przeżył Pan.

Jezioro ma 6 godzin długości a 3 szerokości. Brzegi obrosłe wielkimi krzakami oleandrów, a woda jest słodką i przejrzystą.

Wynajęliśmy łódź i z bratem miłosierdzia, doktorem medycyny, płynęliśmy do Kafarnaum; minęliśmy Magdala, miejsce zamieszkania Maryi Magdaleny, Magedon św. Mateusza, Dalmanuta św. Marka, dzisiaj niestety przez rozbójniczą ludność zamieszkałe, dalej Betsaida, w którym

Chrystus cuda działał a zkład apostołowie Piotr, Filip i Andrzej pochodzili.

W tej okolicy mieszka znany dziś całej Arabii ojciec Zefiryń, misyonarz zwany przez Arabów Abouna Dahoud t. z. ojciec Dawid. Ujrzeliśmy go na terasie willi z jakimś baszą tureckim, wołał na nas, ale dopiero z powrotem z Kafarnaum odwiedziliśmy go.

Przepełnąwszy koło Tabégħa, doszliśmy następnie pieszo do Kafarnaum, w którym dzisiaj Beduini koczują, a prócz ruin i domku Franciszkanów nic nie ma do widzenia. OO. Franciszkanie zakupili obecnie tę miejscowość i odkryli kościół starożytny, ale przysypali to wszystko rumowiskiem dla ukrycia przed władzą turecką.

Z powrotem wylądowaliśmy w Tabga, gdzie ojciec Zefiryń rezyduje w domu palestyńskiego towarzystwa kolońskiego. Wspaniała to postać ten ojciec Dawid z długą do pasa brodą, lat 46 — urodzony w Siebenquell posiada dziwnym zbiegiem w swoim obszarze obecnie siedm źródeł ciepłych. Doskonale się zagospodarował, ma piękne pola i ogród warzywny — co dnia popołudniu wychodzi na polowanie, a dzików w tej okolicy nie brak; żniwa ma już dwa miesiące wcześniej jak gdzie indziej, a o Beduinach potrafi godzinami całymi opowiadać.

Mając lat dwadzieścia kilka, przybył do Jerozolimy do zakładu ojca Ratisbonne, a następnie wysłany został na misye do Mardaba pomiędzy Arabów za górami Moab mieszkających. Tu urządził sobie pod namiotem beduińskim w jednej połowie ołtarz, w drugiej mieszkanie; opowiada z humorem, jak raz podczas odprawiania mszy świętej przybył do niego jeden ze znajomych Beduinów i nie wiedział, co on robi, dopiero kiedy się w czasie *Dominus vobiscum* obrócił, wówczas zawołał Beduin: „dzień dobry, ojcze!“

Opowiadając niezliczone przygody i zwyczaje Arabów, w których rozkochany, podziwia ich piękny charakter i twierdzi, że ci, którzy z tej strony gór, to hołota w porównaniu do tamtych — „stawałem się do nich podobnym, im dłużej wśród nich żyłem tak, że kiedy co roku przybywałem do patryarchatu Jerozolimy, to zdawało mi się, że z każdym rokiem bardziej byłem dzi kim“. Ich proste zwyczaje łatwo się przyjmuje, a nawet palcami jeść się zaczyna, kiedy się wśród nich żyje. Arab je na płaskim chlebie, który mu za talerz służy, swoje potrawy, w czasie tego palce w ten chleb wyciera, zjada tem samem swój obiad, serwetę i talerz.

Misye katolickie bardzo wiele zdziałały wśród Beduinów. Obecnie są misyonarze w przykrem

położeniu, bo Beduini nie chcą należeć do greckiego kościoła a misyonarzom wzbroniono z Rzymu przyjmować Beduinów do łacińskiego obrządku tam, gdzie mają obrządek grecko-unicki; latami więc nie dają dzieci chrzczyć i nie przystępują do Sakramentów, bo popów nie chcą a Łacinnicy przyjąć ich nie mogą. Nie dziwię się, że Beduini godzinami wysiadują u ojca Dahoud i w każdej ważnej sprawie jego zasięgają rady, bo ja byłbym również bez końca przysłuchiwał się jego opowiadaniom, gdyby nie spóźniona pora, która nagliła z powrotem do Tyberyady.

W niedzielę 28. kwietnia po południu wybraliśmy się z Tyberyady konno brzegiem jeziora do miejsca, gdzie Jordan z Genezaret wypływa i do morza Martwego zmierza.

Dzień był piękny ale gorący, dopiero kąpiel w jeziorze czyli morzu Tyberyadzkiem, jak je nazywają, pożądaną przyniosła mi ulgę. Gorąco nad jeziorem pochodzi nie tylko od słońca, ale z ziemi samej będącej wulkaniczną formacją bazaltu. Wszędzie ciepłe źródła, dochodzące do 56° R. wytryskują i zawierają siarkę. W domu kąpielowym, położonym nad brzegiem jeziora, znajduje się wielki basen, będący parnią, ale zarazem takim odznacza się niechlujstwem, że nie podobna się w nim kąpać Europejczykom.

Widziałem tam licznie kąpiących się żydów i przypuszczam, że błogie muszą być skutki tych gorących kąpeli siarczanych w niektórych chorobach.

Trzęsienie ziemi w roku 1837 dowiodło, że miastu grozi niebezpieczeństwo, bo połowa ludności wówczas wyginęła, a wiele domów i murów się zawaliło.

Minęliśmy te ciepłe źródła, spływające rdzawym szlakiem do jeziora i dalej wzdłuż drogi, idącej brzegiem jeziora, używaliśmy miłej jazdy konnej.

Czem jest rasowy koń arabski dla jeźdźca, przekonałem się dopiero wówczas, dostawszy takiego konia od ojca Norberta; stąpa leciuchno tak, że jeździec nigdy się podnosić nie potrzebuje, a gdy się do galopu puszcza, to jak łódka leciuchno przechyla i zda się że płynie. Krok jego nie jest nigdy jednostajny ale pełen fantazyi, jakby tańczył.

Kiedy pod zachód słońca wracaliśmy z naszej wycieczki, grały na przeciwległej stronie jeziora góry cudownemi barwami, wyglądając jakby mistyczny sen jakiś, który wody jeziora odbijały — w leciuchnych falach jeziora paliły się światła gór — coraz niżej schodziło słońce, coraz mniej światła na górach, wreszcie w niebieskich i fioletowych tonach zasnęły ich kształty.

Chciałem dokładniej poznać Tyberyadę, w której typy żydowskie i zwyczaje przechowały się od wieków niezmienione, lecz przyznam się szczerze, że po licznych wędrówkach po mieście jako Polak nic nowego nie obaczyłem, bo u nas to samo nieraz widziałem w dzielnicach żydowskich, a tylko hiszpańscy żydzi odznaczają się większą czystością i barwnością strojów. Również nie widziałem tu tego ubóstwa i niedostatku, jak w Jerozolimie, a niejedno podwórko obrosłe winem liściami i kwiatami wyglądało wcale schludnie i przyjemnie.

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy z Tyberyady, ale już bez naszego brata miłosierdzia, bo ten został zawezwany do chorego rabina. Po jednogodzinnej podróży wspinając się w kierunku północno-zachodnim od Tyberyady, doszliśmy na górę Cudownego pomnożenia Chleba. Zrobiłem szkic tej miejscowości, którą bryły bazaltowe znaczą i znów w godzinę później doszedłem na górę Błogosławieństw, której dwa rogi często z jeziora Tyberyady widziałem.

Przez Lubieh wjechaliśmy w urodzajną dolinę pięknie uprawnemi polami się odznaczającą, gdzie apostołowie kłosa rwali. Odczuwając tę tradycję rwaliśmy również kłosa i wyjadali ziarenka pszeniczne.

W godzinę przybyliśmy do Kany. Tu zamieszasty Tyrolczyk, ojciec Franciszkanin, oprowadzał nas po klasztorze, kościele i ładnym ogrodzie warzywnym. Następnie zaprowadził i do greckiego kościoła, gdzie pokazują dwa kamienne dzbany, w których Chrystus wodę na wino przemienił. Oczywista autentyczność tych dzbanów bardzo wątpliwa. Posiliwszy się szklaneczką wina, wyruszyliśmy z Kany; pomiędzy dwoma płotami kaktusowemi zwróciło naszą uwagę źródło, którego basen zrobiony z pięknego sarkofagu, służy do pojenia koni i wielbłądów.

Przez el Mesched, rodzinne miejsce proroka Jonasza, którego grób w wielkiej czci jest u Mahometanów i er Reineh, wróciliśmy do Nazaretu.

Zdawałoby się, że kiedy w Kanie wino piłem, to już na tem zakończę moje szkice z Ziemi świętej, ale nie tak będzie, pójdziemy jeszcze na najpiękniejszą tej ziemi górę, wysterczającą jak forteca duchowa na morzu, na górę Karmelu!

XII.

[Pożegnanie Nazarethu. — Rzeka Cison. — Kaifa. — Nowa linia kolejowa. — Niemieccy koloniści. — Projekt kolonii polskiej w Ziemi świętej. — Kolonie żydowskie. — Kłasztor Karmelu i Jan Baptysta, braciszek Karmelitów. — Groty pustelnicze. — Siedziby Druzów. — Gościnność ojców Karmelitów. — Zakończenie.]

Janim opuściłem Nazareth, ułożyłem sobie z bratem Janem plan dalszej podróży. Przez Kaię miałem dojść na Karmel a stamtąd do Akki, Tyru, Sidonu i Bejrutu. Dla braku czasu nie mogłem już konno objeżdżać tego kraju, ale postanowiłem morzem resztę odbyć podróży.

To co widzieć pragnąłem, widziałem już i nie chciałem wrażeń Galilei zacierać nowemi wrażeniami, jakie Damaszek albo Balbek sprawić mogą. Czulem zresztą, że w niedalekiej przyszłości powtórzę tę podróż, która tak nieprzebrane bogactwa nowych dla mnie otwarła

myśli i obrazów. Rozstawszy się więc serdecznie z bratem Janem, którego na odjezdnym odrysowałem sobie, wyruszyłem około południa do Kaify.

Żegnałem wzgórza Nazaretu i w dwie godziny później byłem już w dolinie Esdrelonu. Z łatwością przebyłem rzekę Cison, która czasami tak dotkliwe kłęski pielgrzymom wyrządza, jak przeszłorocznej karawanie francuskiej, o której poprzednio wspominałem. Nie napotkałem krokodyłów, z którymi w roku 1868 Anglik Mac Gregor walki staczał, przeciwnie ułatwiłem sobie podróż o tyle, że kiedy w pół drogi spotkałem karocę jadącą do Kaify, przysiadłem się do dwóch Turków, którzy uprzejmie papierosami mnie traktowali, a konia mego wraz z mukrem odesłałem z powrotem do Nazaretu.

Widziałem po drodze szyny kolejowe i mosty budującej się z Kaify do Damaszku i Bejrutu kolei. Niestety zastanowiono obecnie dla braku funduszków dalsze roboty. W Kaifie położonej nad brzegiem morza u stóp gór Karmelu przenocowałem w klasztorze OO. Karmelitów i dnia następnego rano wyruszyłem pieszo na górę Karmelu a był to piękny dzień 1. maja.

Na brzegu morza widziałem dobrze uprawne pola, należące do niemieckich kolonistów, którzy

pobudowali sobie tutaj piękne domki kryte czerwona dachówką, pozakładali ładne ogrody i widocznie nie uprawiają prymitywnym arabskim pługiem ziemi ale porządnie narzędziami rolniczymi. Ci Wirtemberczycy należą do sekty t. zw. Templaryszów, nie znających żadnych sakramentów, zaliczających się jednak do protestantów.

Przechodząc, pozdrowiło mnie kilku chłopczków, mówiąc: „*guten Morgen*“. Już to mi przyjemność sprawiło, więc pomyślałem sobie, jak bardzo bym się cieszył, gdyby w Ziemi świętej jakakolwiek polska kolonia była, a cóż łatwiejszego, chętnych nie brakłoby, trzebaby tylko jednego człowieka z pewnym kapitałem, któryby taką kolonię zorganizował i z rządem tureckim potrzebne formalności przeprowadził. Dotychczas wszystkie europejskie kolonie w Ziemi świętej doskonałe wykazały rezultaty: ziemia urodzajna, klimat piękny, nietylko zboże, ale wino i owoce dojrzewają wybornie. Kolonie niemieckie koło Kaify i Jaffy prosperują znakomicie, również kolonie żydowskie przez Rothszylda założone bardzo dobrze mu się opłacają, jak mi szczegółowo wykazywał jeden z zarządzających kapitałami Rothszylda.

Wspinając się na górę Karmelu, na której szczycie kolosalny klasztor i kościół widniał,

rozważałem w duszy, czego dokazać może jeden człowiek, kiedy się nie lęka trudów i przeciwności, a dla chwały Bożej i dobra bliźnich wszystkie siły wyteży.

Jan Chrzyciel Cassini, rodem z Frascati, był twórcą tego wielkiego dzieła. Kiedy Napoleon I. pod Akrą pobity został, przyjęli rannych Francuzów Karmelici w swoje mury, za to Muzułmanie wycięli wszystko w pień i zniszczyli do szczętu klasztor. Dopiero w roku 1819 wysłany został z Rzymu brat Jan, by się przekonał o stanie zburzonego klasztoru i jako budowniczy pomyślał o sposobie, w jaki by się odbudować dał dawny przybytek. W chwili, kiedy przybył na miejsce, nastąpiła najstraszniejsza katastrofa, bo właśnie basza Abdullah, otrzymawszy pozwolenie od Padyszacha, wysadził w powietrze resztki klasztoru, by raz na zawsze ten strategicznie ważny punkt uczynić nieprzystępnym dla chrześcian. Ale w tej samej chwili powstał w duszy brata Jana zapał prawdziwy, by na tem miejscu wznieść przybytek dla chwały Bożej, szpital i hospicium dla bliźnich. Z tą myślą wrócił 1821 roku do Rzymu i prosił, by mu pozwolono tę myśl serdeczną wykonać. Jakoż uzyskał nawet później w Konstantynopolu od sułtana Mahmuda firman w roku 1826. Wrócił

na Karmel i usiadłszy na odłamie bizantyjskiej kolumny począł rysować plan i układać kosztorys. Obliczył koszt na 350.000 franków, a zeszedłszy z góry, musiał prosić o posiłek, bo tam grosza nie miał przy duszy, chociaż miał w zanadru plan na 350.000 franków.

Za pierwszej bytności swojej poznał Turka, z którym się zaprzyjaźnił, do tego udał się z prośbą, by mu pożyczył 9.000 fr. na wydzierżawienie młynów, które widział bezczynnie stojące w okolicy i one miały pierwszych dostarczyć funduszków. Wydzierżawił je od Druzów i przez 12 lat spłacał dzierżawę i Turka. W dzień Bożego Ciała, w siedem lat od chwili wysadzenia klasztoru, założył kamień węgielny pod budowę, bo z jałmużny w Azji zebrał 20.000 fr. Czternaści razy udawał się na wędrowniki do Europy ów wielki żebrak boży a raz przeszło 200.000 franków uzbierał. I wznosił wspaniały klasztor i kościół, gdzie Panna Najświętsza króluje na szczycie.

Pięć dni tam przepędziłem, tęskniąc, marząc, modląc się i pracując; tęsknotę budzi nieskończona przestrzeń morza, do marzeń pobudza dzieło brata Jana i cisza klasztorna, do modlitwy Madonna w tej samotności wśród zapalonych świec i śpiewu zakonników, do pracy przykład brata Jana.

*

Pierwszego dnia oprowadzał mnie po górze Karmelu Francuz, ojciec Brocard. Schodząc w dół ku morzu oglądaliśmy grotę św. Prospera i Brocarda, kapliczkę świętego Simona Stock, fundamenty starego kościoła i grotę Eliasza, będącą w ręku Muzułmanów zwaną szkołą proroków.

Grota mająca 7—8 metrów szerokości, a 6 wysokości, okryta różnemi napisami, w lewej ścianie ma wydrążenie, w którym wedle tradycyi Święta rodzina kilka dni przebywała w czasie powrotu z Egiptu.

Pewnego dnia o 5 godzinie z rana wybrałem się konno w towarzystwie jednego Beduina, katolika, do Muhraka t. j. do miejsca, gdzie Eliasz spalić kazał kapłanów Baala. Grzbietem gór jadąc, mieliśmy ciągle przepyszny widok na zatokę morską Akka i Kaifa.

Wśród dębów, dzikich migdałów, małych pinii i laurów, przybyliśmy do Esfije, które jest siedzibą Druzów, a następnie w kilka godzin do miejsca zwanego „Sacrifice“. Tutaj otworzyliśmy sobie kluciami, danemi nam z klasztoru Karmelu, kościółek będący w wielkim opuszczeniu i wypoczęliśmy, zasiliwszy się śniadaniem wśród czarującej panoramy. Przed nami na wschód dolina Esdrelonu z rzeką Cison, góry Nazaretu,

Tabor, mały i wielki Hermon a za nami na zachód ku Cezarei morze.

Z powrotem inną obraliśmy drogę przez wieś Druzow Dalijet, bo tam mój przewodnik miał przyjaciół i tych odwiedziliśmy. Zsiadłszy z konia, wszedłem do wielkiego pokoju, którego ściany obwieszane były tarczami, a ziemia dywanami zasłana. Zwolna zaczęli się schodzić ludzie, z których jeden był piękniejszy od drugiego; chłopcy rosłe, brwi czarne, rysy regularne, a kobiety, które widziałem na podwórzu, były tak piękne, jak nigdzie indziej w Palestynie, a szczególniejszego wdzięku dodawały im białe zawoje, ślicznie na głowie upięte.

Wieś Dalijet należy do wdowy angielskiego pisarza Oliphant, na którego cześć mieszkańcy wystawili kolumnę. Dobrobyt jest tam widoczny już w samym czystym i bogatym, przeważnie jedwabnym stroju mieszkańców.

W pięć godzin jadąc pięknymi dolinami i wąwozami wróciłem pod wieczór do klasztoru i zastałem tam dobrze znanego mi superiora Dominikanów z Jerozolimy ojca Legranche, który dnia następnego tę samą podróż odbył do Sacrifice Eliasza.

Nie zapomnę nigdy gościnności, jakiej doznawałem w klasztorze Karmelu. Trzeciego dnia

mego pobytu zrobiono mi up. taką niespodziankę, że w czasie obiadu jako leguminę podano naśladowaną z marcypanu paletę z pędzlami, z tem życzeniem, by mi sztuka słodką była i żebym nią osładzał życie bliźnich.

Daj Boże, bym to życzenie z góry Karmelu urzeczywistnił w Ojczyźnie mojej. W Ziemi świętej zaczerpnąłem wiary silniejszej na dalszą drogę życia, a u tronu „naszej dobrej Pani z góry Karmelu“ krzepiłem duszę moją nadzieją i otuchą, wyciągając z energicznego działania brata Jana tę naukę, że można ze spokojem patrzeć na wysadzone w powietrze resztki choćby świętej przeszłości, kiedy się w duszy posiada ogień i siłę na stworzenie rzeczy nowej, która ma służyć na chwałę Boga, a bliźnim na ducha podniesienie.



TREŚĆ.

List Platona Kosteckiego do Autora.

- I. Wstęp. Wiosna palestyńska. Aleksandrya. Kairo. Wylądowanie w Jaffie. Jerozolima i austryackie hospicyum 7
- II. Pierwsze wyjście na miasto. Kościół Grobu Świętego. Golgota. Tradycją potwierdza nauka. Święta Wielkanocne. Ogień święty. Mycie nóg u Greków 15
- III. Trzy świąty. Uroczystość Nebi Musa-El-Sakrah-El-Aksa. Dziedziniec Meczetu Omara o zachodzie słońca 29
- IV. Wieża Dawidowa. Coenaculum. Nekropola pamiątek za murami miasta. Grota Jeremiasza. Groby królów. Dolina Jozafata. Kościół Wniebowzięcia Matki Boskiej. Grota trwogi. Ogród Gethsemani. Cerkiew na Górze Oliwnej. Ślad stopy Chrystusowej. Widok z Góry Oliwnej. Ojciec nasz. Grobowce Absalona, Jakóba i Zacharyasza. Wieś Siloah. Trędowaci. Szczęście i nieszczęście ludzkie. Góra złej Rady i góra Złości. Mury Jerozolimy i historia kamieni 37

- V. Wycieczki do Jordanu i Morza Martwego. Betonia. Grób Łazarza. Beduini panami pustyni. Dolina Jordanu. Jerycho. Polityka europejska w hotelu Jordanu. Morze Martwe i jego początek. Woda Jordanu i miejsce chrztu Chrystusowego. Pielgrzymi rosyjscy. Opinia polskich pielgrzymów. Góra Kwarantany. Anachoreci a ludzie czynu 57
- VI. Wycieczka do Betlehem. Klasztor Mar Elias. Ludność okoliczna i piękność Betlemitek. Grobowiec Racheli. Grota pasterzy. Grota Narodzenia Chrystusa Pana. Walki różnych wyznań na miejscach świętych. Droga do Hebronu. Stawy Salomona. Starożytność zabytków. Klimat Palestyny. Dolina Abrahama. Hebron. Groby Patryarchów. Konserwatyzm muzułmanów 71
- VII. Wieczory Jerozolimskie. Patryarcha katolicki. Siostry Syońskie. Łuk Ecce Homo. Siostry Różańca. Ojcowie Ziemi świętej. Dominikanie. Afrykańscy misjonarze. Miejsce Narodzenia Matki Boskiej. Szymatycy. Ewangelicy. Żydzi i mury przez nich opłakiwane 84
- VIII. Pożegnanie Jerozolimy. Ramallah. Droga do Samaryi. Studnia Jakóbową. Nablûs. Prawda lokalna w dziełach sztuki. Samarytanie. Sebaste. Ruiny kościoła św. Jana Chrzciciela. Widok Samaryi i Galilei. Sanur. Zamiłowanie Beduinów do malarstwa. Dżenin. Wychowanek ojca Ratisbonne. Dolina Esdrelonu. Widok Nazaretu 92
- IX. Casa nuova OO. Ziemi świętej w Nazarecie. „Zdrowaś Marya“. Pracownia św. Józefa. Władze tureckie a zapobiegliwość Franciszkanów. Kościół Gabryela. Góra strącenia. Mensa Christi. 105
- X. Góra Tabor. Obraz 1a. Cuda lilei. Tyberjada. Ojciec Norbert. Rybak z jeziora Genezaretu głową Kościoła 113

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

201881

Biblioteka WSP Kielce



0070061